Biblioteka UMCS Lublin

Najprościej leżeć w gaciach przed telewizorem... (str. 2-3); Skąd Polacy wracali po wojnie? (str. 5); Wielki Bimbajło na zsyłce (str. 8-9); Reportaż kryminalny „Trójkąt zbrodni" (str. 14)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr ind. 36

Kamena

NR 12 (910) 12 czerwca 1988 Cena 35 zł

„Kamena" przyjmuje ogłoszenia!

— Najniższe ceny
— Krótkie terminy
— Niekonwencjonalne formy
— Dwa tygodnie w kioskach
— Zasięg ogólnopolski

Oferty przyjmują biura ogłoszeń i urzędy pocztowe w całym kraju. W Lublinie — Biuro Ogłoszeń, ul. Rybna 13, tel. 214-23.

Jak Kowalski z Iwanowem?

Rozmowa z Michaiłem Botianem korespondentem „Komsomolskiej Prawdy" w Warszawie

— Proszę pana, kiedy czytamy na przykład o rozterkach Bołkońskiego i Rostowa, w naszych duszach grają te same sentymenty. Łączą nas także wspólne dążenia, ten sam kierunek historycznej drogi, wspólnie przelana krew. Czy coś wszakże różni nas jako narody? Jeśli tak, jak ma się, pana zdaniem, dusza polska do duszy rosyjskiej?

— Ten problem zawsze mnie interesował. Mieszkam w Polsce od czterech lat, obserwuję wasz naród, obserwuję, co zrozumiałe, swój naród i często przymierzam nas wzajemnie do siebie. Po pierwsze, jesteśmy bardzo podobni, jesteśmy przecież Słowianami i pewne podobieństwa charakterologiczne wynikają z tego faktu. Z drugiej zaś strony, istnieją i różnice. Wydaje mi się, że Polacy są bardziej otwarci, bardziej bezpośredni w kontaktach z cudzoziemcami, a także w kontaktach między sobą, choć i u nas pod tym względem ostatnio następuje poprawa.

We wzajemnych stosunkach między nami obowiązuje jednak wciąż jeszcze wiele stereotypów. Tak u nas, jak i u was. Na przykład przeciętny Polak, myśląc o Związku Radzieckim, nierzadko wywołuje w pamięci taki obraz: jest to kraj, w którym istnieje wszechobecna milicja, ma miejsce totalne zwalczanie religii i funkcjonuje powszechny kołchoz. Niestety, taka jest potoczna wizja. Natomiast u nas Polska to przede wszystkim silny Kościół, prywatne rolnictwo i sklepikarstwo. Takie wizje trzeba eliminować. Stereotypy poddają się wszakże opornie. Kształtowały się one czasami przez stulecia, w trudnym, skomplikowanym procesie historii. To, co zrobiliśmy przez te kilkadziesiąt lat, to niewątpliwie dużo, ale naszą wspólną platformą powinna być przede wszystkim przyszłość, która może stwarzać bardzo atrakcyjne możliwości.

— Chodzi panu, jak mniemam, o bardziej ludzki wymiar wzajemnych kontaktów?

Dokończenie na str. 12—13

Wojciech Młynarski — w połowie wierszyka (str. 16)
Fot. Zofia Nasierowska

W śródmieściu Lublina

Dziadek w gumnie

Ireneusz J. Kamiński

PODOBNO z lotu ptaka Lublin prezentuje się bardzo efektownie. Jego układ urbanistyczny i ciągi komunikacyjne zdają się być dziełem czułego na piękno umysłu, który znalazł złoty środek między wolną ekspresją twórczą, a funkcjonalną koniecznością.

Ale ja tam nie latam, ino chodzę i z tego punktu widzenia też mi się Lublin podoba, szczególnie zaś podoba mi się śródmieście, które stanowi wszak mózg, serce i żołądek miasta. Tutaj znajdują się ważne urzędy, liczne sklepy i kościoły, redakcje gazet i czasopism, cenione szkoły i salony artystyczne, banki i restauracje, sądy i fontanna na placu Litewskim oraz wiele zabytków architektury.

To materialne i instytucjonalne dobrodziejstwo śródmieścia nie byłoby może tak powabne, gdyby nie taki jakiś swojski charakter miejsca, pobudzający rzewne wspomnienia u kogoś, kto jak ja wychował się w prowincjonalnym miasteczku, a w rodowej biografii posiada wiejskie korzenie.

Bywalcy starszej daty twierdzą, że niegdyś Krakowskie Przedmieście, główny trakt lubelskiego centrum, przypominało im Paryż, może Montparnasse w mniejszej skali. Owszem, trzydzieści lat temu byłbym nawet skłonny przyznać rację tym panom, ale dzisiaj innego jestem zdania, a poza tym nad paryskie nastroje i widoki przedkładam ów lubelski powiew bliskiej sercu prowincji.

W obronie prowincji napisano niejedną książkę, czuję się zatem zwolniony z obowiązku aksjologicznych dywagacji na ten temat.

Nasze śródmieście jest swojskie i jakoś familijne, bo tam ludzie wchodzą w bezpośrednie relacje, wręcz ocierają się o siebie. Na przykład w sklepach, przez które codziennie przelewają się tłumy tubylców i mieszkańców województwa, podnosząc swoją kondycję w zapasach o towary. Proszę zwrócić raz jeszcze uwagę, jak wiele malutkich sklepików, państwowych, spółdzielczych i prywatnych, rozłożyło się w śródmieściu Lublina, jakby repetując scenerię międzywojennej ulicy Lubartowskiej, przy której kwitły żydowskie interesy o pojemności gniazda orła bielika. Tego ptaka już prawie w Polsce nie ma, jest natomiast, przynajmniej nad Bystrzycą, żywa pamięć o starozakonnym handelku, akcentowana dodatkowo skłonnością do szyldowania sklepików wedle indywidualnych wyobrażeń o skuteczności i estetyce informacji.

Dokończenie na str. 10—11

Obroty spraw

Po moskiewskim szczycie

Agencje zachodnie relacjonują:

Po zakończeniu szczytu moskiewskiego prezydent Reagan udał się do Londynu, gdzie spędził nieco ponad 24 godziny. W piątek po południu prezydent i towarzyszący mu doradcy wystartowali w drogę powrotną do Waszyngtonu, kończąc tym samym 10-dniową podróż europejską.

W piątek przed południem Reagan złożył pożegnalną wizytę pani Thatcher, określanej przez agencje zachodnie mianem „najbardziej lojalnego sojusznika Ronalda Reagana". W czasie pożegnania zaprosił panią Thatcher, by złożyła mu jeszcze jedną wizytę w Białym Domu przed zakończeniem jego kadencji.

W godzinach południowych odbyła się konferencja prasowa rzecznika Białego Domu, Marlina Fitzwatera, który, odpowiadając na pytania dziennikarzy, oświadczył, iż Reagan w czasie pobytu w Moskwie dał wyraz temu, że Stany Zjednoczone popierają proces reform zachodzących w ZSRR, jak również wyraz przekonaniu, że na dłuższą metę reformy te prowadzić będą do poprawy stosunków amerykańsko-radzieckich. Fitzwater powiedział: „Prezydent z całego serca pragnąłby poprzeć glasnost' i pieriestrojkę... Powodem takiego stanowiska jest to, że prezydent popiera każdy proces, który prowadzi do rozwoju i zmierza w kierunku demokratyzacji... Sądzę, że prezydent jest przekonany o zdecydowaniu sekretarza generalnego do dalszego prowadzenia i rozwijania reform".

Korespondent agencji AP, towarzyszący Reaganowi, pisze w relacji sumującej podróż prezydenta m.in.: „Wprawdzie obaj przywódcy wyrazili nadzieję na osiągnięcie porozumienia w sprawie częściowej redukcji broni strategicznej do końca roku, jednak cel ten wydaje się coraz bardziej niemożliwy do osiągnięcia. Jednym z sygnałów istniejących trudności jest fakt, że negocjatorzy amerykańscy i radzieccy przygotowujący w Genewie projekt układu powrócą do stołu obrad dopiero po dniu 12 lipca".

Zapytany na ten temat Fitzwater na konferencji w Londynie odpowiedział: „Ta przerwa jest konieczna. Negocjatorzy pracowali niezwykle ciężko".

W drodze z Moskwy do Londynu odbyła się zaimprowizowana konferencja prasowa szefa sztabu Białego Domu Howarda Bakera. Powiedział on dziennikarzom: „Osiągnęliśmy to, czego się mniej więcej spodziewaliśmy". Baker wyraził jednak rozczarowanie, że nie dokonano więcej postępów w rozmowach na temat układu o częściowej redukcji arsenałów nuklearnej broni strategicznej.

Baker oświadczył, że rozmowy w Moskwie „przebiegały w swobodniejszej atmosferze" niż rozmowy, jakie miały miejsce w grudniu w czasie szczytu w Waszyngtonie. „Kiedy przywódcy się co do czegoś nie zgadzali, natychmiast szczerze o tym mówili" — poinformował Baker.

„Sowietskaja Kultura" komentuje:

Przywiązanie Amerykanów do celowego, zamierzonego „niespieszenia się" istotnie przeciągnęło rozwiązanie poszczególnych problemów z dziedziny kontroli nad zbrojeniem i rozbrojeniem, w których strony mogły osiągnąć znaczny postęp — i to już tu, w Moskwie... Mimo wszystko jednak nie można nie przyjąć na wiarę tego, że rozwijając stosunki radziecko-amerykańskie, regularny i długofalowy dialog, prowadzony w imię pokoju i bezpieczeństwa, jest czymś lepszym niż pośpiech, lepiej jest się właśnie nie spieszyć, aniżeli walić na odlew.

Już nie magnetowid

czy pistolet gazowy stały się głównymi obiektami zainteresowania polskich celników wobec naszych turystów wracających z Zachodu. Teraz ludziska chowają bezprzewodowe aparaty telefoniczne, których nie wolno wwozić do kraju.

Mówi Jan Michalak, kierownik działu służby telekomunikacji w lubelskiej DOPiT:

„Okazuje się, że wygodne dla użytkownika, przenośne aparaty, produkowane w państwach zachodnich, czynią duże spustoszenie w eterze, ponieważ pracują w zagospodarowanych już pasmach częstotliwości. Zakłócają odbiór programów radiowych i telewizyjnych w mieszkaniach najbliższych sąsiadów. Co gorsza, umożliwiają prowadzenie rozmów na cudzy koszt i podsłuchiwanie, o czym mówią inni abonenci" („Kurier Lubelski" z 27—29 V br.).

Metoda?

„Jest publiczną tajemnicą, że fiskus — a więc ministerstwo finansów i urzędy skarbowe oraz różne instytucje i służby związane z tym resortem — często działały i działają wbrew prawu — przez które rozumiem Konstytucję i ustawy sejmowe — wbrew interesom społeczeństwa i gospodarki, wbrew elementarnej logice i wbrew powszechnemu poczuciu sprawiedliwości" — stwierdza Andrzej Nałęcz-Jawecki, redaktor naczelny „Veta" (nr 23), „najbardziej wiarygodnej gazety w Polsce".

Mocno powiedziane. Bardzo agresywny ton. Może to jest metoda? Biorąc z niej wzór, trzeba by napisać, że na poczcie są złodzieje, na kolei — chamy, a w handlu uspołecznionym — głupcy i oszuści. I tak dalej.

Pdg

KRONIKA KULTURALNA

■ Wiele lat istniała w Krasieninie szkoła rolnicza dla dziewcząt, założona w 1913 r., przez Irenę Kosmowską (1879—1945), wybitną działaczkę ruchu ludowego i publicystkę. W miejscowości tej odsłonięto właśnie (22 V) pomnik Kosmowskiej, wykonany przez Sławomira Mieleszkę. Monument składa się z popiersia i wysokiego cokołu, na którym widnieje m. in. motyw czterolistnej koniczynki. Aktu odsłonięcia portretowej rzeźby dokonał sekretarz Rady Państwa, Zygmunt Surowiec.

■ Od czerwca do października br. można oglądać w Muzeum Przyrodniczym Kazimierza Dolnego „Zwierzęta w rysunkach Z. Kononowicza". Prace te powstały w ostatnich latach życia artysty i były darzone przezeń specjalnym sentymentem. Galeria KUL-u proponuje z kolei (do końca bm.) wystawę dziewięciu obrazów z cyklu „Płaszcz miłosiernego Samarytanina". Ich autorem jest Jacek Waltoś: malarz, grafik, rzeźbiarz, pedagog w poznańskiej PWSSP, niegdyś (1966) współzałożyciel głośnej grupy krakowskiej „Wprost", opozycyjnie nastawionej do programów awangardy i deklarującej pragnienia usytuowania się wprost życia człowieka.

■ Minęło 20 lat od powstania w Lublinie ogólnopolskiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych. STL skupia niemal 2000 członków: malarzy, rzeźbiarzy, kowali, tkaczy, garncarzy, poetów, muzyków, tancerzy itp. Od 1986 r. dorobek STL, wybrane problemy kultury ludowej, sylwetki twórców, wiersze i utwory prozatorskie prezentowane są na łamach kwartalnika „Twórczość Ludowa", który ukazuje się w Lublinie. Na jubileuszu pojawiła się m. in. delegacja litewska.

■ Sześć instytucji, w tym stołeczny Związek Kompozytorów Polskich, skupiło swoje siły, by 30 maja urządzić „prezentację muzyczno-plastyczną Akord I" czyli „konteksty nowej muzyki lubelskiej". Impreza odbyła się w sali filharmonii, a jej program otwierała rzecz pt. „Niemowa". Kilka dni później wystąpił tam Konstanty Andrzej Kulka — jak zaznaczono w prasie: „wprost po sukcesach w Ameryce Południowej".

■ Dowiadujemy się, że 9 bm. na festiwal sztuki w Nowym Jorku wyjeżdża stowarzyszenie teatralne „Gardzienice", które za oceanem przedstawi oczywiście „Żywot protopopa Awwakuma".

■ Autorska galeria „Łazorek" w Kazimierzu Dolnym rozpoczęła kolejny sezon działalności (od 8 czerwca). Znajduje się w obrębie Zamku, oferuje głównie malarstwo: przedstawiające, uczuciowe, solidne.

■ Wojewódzkie spotkanie z okazji Dnia Działacza Kultury (30 maja) odbyło się w lubelskiej instytucji artystycznej, która w ostatnich latach zrobiła już chyba wszystko, by pozbyć się publiczności.

■ Magdalena Jankowska (zresztą współpracowniczka „Kameny") otrzymała nagrodę RSW „Prasa—Książka—Ruch" oraz wyróżnienie za zestaw wierszy podczas Lubińskich Spotkań z Literaturą Miłosną.

■ Teologia, filozofia i nauki humanistyczne określają profil piątej wystawy książki francuskiej, czynnej od 25 maja w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL.

■ W czerwcu zamojska Galeria Sztuki Współczesnej proponuje malarstwo artysty z Łucka (ZSRR), Aleksandra Bajdukowa.

■ **80-lecie urodzin obchodził prof. Gabriel Brzęk — wybitny uczony, autor licznych prac i artykułów z dziedziny hydrobiologii i historii zoologii w Polsce, od listopada 1944 r. związany stale z Lublinem, gdzie zdobył uznanie i szacunek jako badacz, nauczyciel akademicki (UMCS, WSR, i AR), działacz społeczny, człowiek niezwykle sumienny i prawy. Z oczywistych powodów pragniemy jeszcze wspomnieć, że w parze z merytoryczną wartością publikacji Profesora idzie wysoka kultura języka. Z okazji urodzin prof. G. Brzęk otrzymał list gratulacyjny od Wojciecha Jaruzelskiego.**

SPROSTOWANIE

Wskutek przedłużającej się autoryzacji wywiadu z p. Wen Yourenem, sądziliśmy, że tekst został zaakceptowany niejako przez aklamację i opublikowaliśmy go w 11 numerze „Kameny" pt. „Ostrożna szczerość". W trakcie druku, gdy było już za późno na poprawki, p. Wen Youren, który zajmuje stanowisko kierownika Biura Agencji Prasowej Sinhua (a nie jak podaliśmy — korespondenta), nadesłał autoryzowaną wersję wywiadu. Zgodnie z nią — na życzenie naszego rozmówcy — zamieszczamy sprostowanie.

Wszędzie, gdzie użyty został termin „przebudowa", należy go zastąpić wyrazem „reforma". Ponadto odpowiednie fragmenty tekstu powinny brzmieć (w nawiasie kolejność akapitu):

„Znacznie trudniejszy okazał się proces reformowania w mieście" (3).

„Od powstania Chińskiej Republiki Ludowej" (4).

„Sądzę, że reforma gospodarcza w każdym kraju socjalistycznym prowadzi się według własnych warunków narodowych" (11).

Skreślone sformułowanie: „i na odwrót" (11).

Skreślone: „Erę totalnego potępienia mamy już na szczęście poza sobą" (13).

„Wykorzystujemy przede wszystkim pozytywne doświadczenia" (13).

Skreślone: „w dziedzinie stosunków społecznych. Moda ma jednak niewiele wspólnego z tymi zagadnieniami. Myślę więc, że problemu tego nie należy demonizować" (13).

Akapit 15 powinien brzmieć: „Jak wiadomo, w pewnym okresie historii Japonia dokonała agresji na Chiny. Narody chiński i japoński zachowają nadal uczucia przyjaźni i wzajemnego szacunku. Pogłębianie tego porozumienia jest możliwe i potrzebne. Po II wojnie światowej obserwujemy w Japonii istotnie technologiczny boom. Dobre stosunki między naszymi krajami pozwoliłyby nam część tych doświadczeń spożytkować, zwłaszcza w zakresie nowoczesnych technologii i procesów zarządzania. Pragniemy tylko dobrosąsiedzkich, wzajemnie korzystnych kontaktów".

„Towarzysz Mao Tse-tung wniósł ogromny wkład w dzieło wyzwolenia narodu chińskiego, w obalenie panowania imperializmu, feudalizmu i biurokratyczno-kapitalizmu, w utworzenie i umocnienie Chińskiej Republiki Ludowej" (17).

— Nie pytam o pański program rozwoju kultury miasta Lublina do roku 2000, ponieważ nie wierzę w żadne programy rozwoju kultury, a szczególnie w tak zwane dynamiczne. Tyle ich bowiem okazało się rejestrami pobożnych życzeń. A w ogóle to mam koncept, żeby kandydatów na radnych pokazywać nie poprzez programy, a poprzez osobowość i biografię. Pytanie za sto punktów: jakim pan jest człowiekiem?

— Jakim ja jestem człowiekiem? Zapracowanym!

— Pewno teraz usłyszę o pańskich czynnościach zawodowych, społecznych, partyjnych.

— A dlaczego nie?

— Bo każdy kandydat na radnego gdzieś pracuje i ma dobre wyniki oraz działa społecznie, jak potrafi. To już lepiej pomówmy o pańskich korzeniach. Wiem, że pochodzi pan z rodziny aktorskiej.

— Dziadek mój był reżyserem i aktorem przed I wojną w Warszawie, a babka śpiewaczką. Jeździli z programami estradowymi po guberniach Cesarstwa, trafiając między innymi do Nałęczowa, ale i do Odessy. W tych wojażach towarzyszył im synek Maksymilian, wpierw mieszkaniec nieluch, a potem cudowne dziecko — recytator. W końcu Maksymilian, zrezygnowawszy ze studiów medycznych, zaangażował się w charakterze adepta u Zelwerowicza w Warszawie, czyli do Teatru Polskiego, aż wreszcie, wskutek działań wojennych, trafił na Syberię, gdzie zresztą też zajmował się teatrem, choć zaczynał od kelnerowania. Pan się domyśla, że mówię o własnym ojcu?

— Owszem.

— Bodaj w 1922 roku został repatriowany do kraju wraz z zespołem i majątkiem teatralnym. Trochę grał w Krakowie z Sempolińskim, później w Bydgoszczy, a od sezonu 1928/29 w lubelskim Teatrze Miejskim u dyrektora Grodnickiego. Podczas wojny był konwojentem w przedsiębiorstwie przewozowym pana Kempistego, a następnie w Biłgoraju kasjerem w spółdzielni rolniczo-handlowej. Po wyzwoleniu znów w teatrze, a od 1949 roku, gdy Miejski upaństwowiono i przemianowano na Osterwy, dyrektorował tej firmie artystycznej do 1952. Moja matka była wtedy aktorką w tym teatrze.

— Pan też był cudownym dzieckiem — recytatorem u swojego ojca w teatrze?

— Nie, ja już szedłem normalnie. Skończyłem „Zamojskiego" i zostałem... pilotem szybowcowym, choć równocześnie adeptem u ojca pod opieką Zofii Modrzewskiej. Wkrótce jednak do-

JAK wiadomo, skrawek Turcji znajduje się na kontynencie europejskim, znakomicie większa część — w Azji, centra głównych miast prezentują się na sposób zachodni, zaś na peryferiach panuje duch Orientu. Dalej: podczas ramazanu przeciętni Turcy poszczą totalnie, od świtu do zmierzchu nie pijąc nawet wody, natomiast środowiska elitarne, całkowicie lub selektywnie wyzwolone spod wpływów islamu, bez żenady zajadają Iskender, baraninę z donera lub patlicany z sarimsakiem, popijając to licencyjnym tuborgiem lub słodkawą raki. Na ulicach miast tureckich warczą stada samochodów o rodowodzie włoskim, francuskim, amerykańskim i zachodnioniemieckim, które dotarły tutaj w pełnym kształcie lub w częściach (do montażu), ale nie jest też czymś egzotycznym widok damy na osiołku, zręcznie lawirującej wśród rozdygotanych pojazdów z żelaza.

Pomysł urządzenia w takim kraju Międzynarodowego Biennale Sztuki Azja — Europa nie musiał więc szukać uzasadnienia w rejonach spekulatywnej refleksji.

Zainicjowana w 1986 roku przez tureckie Ministerstwo Kultury i Turystyki, namaszczona patronatem UNESCO, impreza ta z miejsca zaciekawiła kilkanaście (19) krajów z obu kontynentów, w tym Polskę, której premierowe entrée nagrodzono dwoma medalami.

Wystąpiliśmy też na II Biennale w Ankarze, otwartym 2 maja w Państwowym Muzeum Sztuki, gdzie pokazaliśmy obrazy Antoniego Fałata i Franciszka Maśluszczaka (Warszawa), Jerzego Gumieli (Szczecin), Jana Wojciecha Malika (Poznań), Teresy Miszkin (Gdańsk), a ponadto grafiki i rysunki lublinian: Stanisława Góreckiego i

Najprościej leżeć w gaciach przed telewizorem...

Rozmowa z Andrzejem Chmielarczykiem, kandydatem na radnego MRN w Lublinie, dyrektorem Teatru Muzycznego

stałem się na prawo UMCS, które... rzuciłem dla Wyższej Szkoły Aktorskiej u rektora Dejmka w Łodzi. Po ukończeniu studiów wróciłem w lubelskie pielesze i byłem aktorem w Teatrze im. J. Osterwy do 1969 roku, kiedy to zawezwał mnie tow. Dąbek, który powiedział: „W naszej operetce panuje bałagan. Przejmiecie tę firmę jako dyrektor i będziecie ją ratować". Przejąłem i tak to trwa do dziś. Nie było lekko, istniały zadawnione konflikty, rosły nowe kontrowersje, gdyż środowisko artystyczne nie należy do łatwych. Próbowano mi przeszkadzać, między innymi i pan swego czasu napisał bardzo złośliwy artykuł w „Kamenie" pod tytułem: „Operetka", który odbił się tak zwanym szerokim echem...

— Napisałem i nie wycofuję się z tego, choć nazwałbym ten artykuł jedynie krytycznym, a nie złośliwym. Ale skoro pańskie dyrektorowanie lubelskiemu Teatrowi Muzycznemu utrzymuje się prawie 20 lat, to znaczy, że się pan wybronił. Nadludzkim wysiłkiem woli?

— Raczej taktem i rozumem oraz tym, że wiedziałem, czego chcę. Może dlatego w okresie „Solidarności" nie wywieziono mnie na taczkach, a nawet występowałem w charakterze międzyzwiązkowego mediatora.

— A czego można chcieć w sztuce, która już od dawna uważana jest za przestarzałą, przeznaczoną dla starych frajerów?

— Więc proszę mi powiedzieć, dlaczego ja nigdy nie miałem problemu pustych widowni, a przeważnie była kwestia nadmiaru klienteli? Słabe libretta można ratować fachowym wykonawstwem, dowcipną reżyserią, ładną scenografią. Na to zawsze stawiałem.

— Tylko trzeba posiadać pieniądze.

— Rzecz jasna. Porządny spektakl, który tłumnie nawiedza publiczność, musi kosztować, i tych kosztów w kraju socjalistycznym nie pokryją w całości bilety. Ponadto istnieje kwestia promowania, z czym też wiążą się wydatki.

— Bardzo dziękuję, że pan to powiedział. Bo dzisiaj wszyscy dostali szału na tle zarabiania. Również w kulturze. Tymczasem o kulturę trzeba pytać przede wszystkim, czy ona zaspokaja oraz inspiruje ważne potrzeby duchowe, a dopiero potem, czy może na siebie zarobić. Gdy nie może zarobić, a zaspokaja oraz inspiruje, to mecenat państwowy powinien kulturę dotować, i to bez łaski, nawet jeśli już żyjemy w drugim etapie reformy. Mówię także pro domo sua, bo jeszcze nie słyszałem o dwutygodniku społeczno-kulturalnym, który by przynosił dochód.

— Zgadzam się w całości.

— No i bardzo ładnie, ale skoro rozmawiamy o kulturze, to znam wielu, którzy powiedzą tak: Lublinowi potrzeba mieszkań. Zaopatrzenie jest tutaj chyba najgorsze w całej Polsce. Więc o czym gadać? O kulturze? Po co komu kultura? Zresztą mamy telewizję, ona załatwia wszystko.

— Oczywiście. Najprościej leżeć w gaciach przed telewizorem. Pauperyzacja duchowa społeczeństwa czyni coraz większe spustoszenie. Można przejść szkołę średnią i nie przeczytać do końca żadnej książki beletrystycznej.

— Bo szkoła zarzyna literaturę, upupia i „odurnia".

— Tym bardziej trzeba dorosłych ludzi inspirować do bardziej aktywnego i rozumnego uczestnictwa w kulturze i rozrywce.

— Namawiać, żeby chodzili do teatru? Tę lekcję już przerobiliśmy. Bilety za darmo z łaski rady zakładowej, zbiorowe „pójścia" na spektakl. Niewiele mądrego stąd wynikło.

— Ponieważ człowiek na ogół nie ceni tego, co może mieć za darmo, i to była głupia polityka. Poza tym zbyt często serwowano albo pseudointelektualną tandetę z pretensjami do ambicji na nowoczesność, albo ubogie scenicznie propozycje rozrywkowe. A przecież prawdziwie dobre widowisko zawsze znajdzie amatorów i bez gorliwej działalności naganiaczy.

— A to nie wszystko jedno: bezmyślnie gapić się z tapczana w telewizor czy z widowni na scenę?

— Żeby wstać z wyrka, założyć dżinsy oraz koszulę i elastycznym krokiem udać się do teatru, trzeba dokonać jakiegoś wyboru, a przedtem jeszcze mieć rozeznanie, co się chce zobaczyć i dlaczego. To zaś wiąże się z pewnym wysiłkiem umysłowym.

— Spotkałem się z opinią, że najmniejsze zainteresowanie kulturą przejawia młodzież. Zresztą wyborami tak samo.

— Młodzież obecnie nigdzie się nie garnie, co najwyżej do zarobku, najlepiej w „zielonych".

— A pan się dziwi! Jak długo można ludzi namawiać, żeby pracowali w imię świetlanej przyszłości następnych pokoleń?

— Nie dziwię się, tylko stwierdzam, że jestem inny.

— Nie lubi pan pieniędzy?

— Każdy chce zarobić. Kwestia jedynie, jakim kosztem wewnętrznym. Do mycia szyb samochodów na ulicach we Włoszech z pewnością nie umiałbym się posunąć.

— Po blisko dwudziestu latach dyrektorowania co pan posiada?

— 62-metrowe mieszkanie na osiedlu Sienkiewicza, siedmioletni telewizor marki „Rubin" na wykończeniu, pięcioletnią „Dację", zbiór polskich znaczków pocztowych, głównie powojennych. Niektórzy moi pracownicy mają więcej. Mnie wystarczy.

— Panie dyrektorze, mówiliśmy o operetce lubelskiej. Ale przecież to jest teatr, którego... nie ma. Dotychczasowy lokal, przez 40 lat wynajmowany „na godziny", musieliście opuścić i co dalej?

— Na razie jeździmy ze spektaklami po kraju i czekamy, aż skończy się modernizacja sali widowiskowej Domu Kultury „Kolejarza", gdzie od września znajdziemy tymczasowe przytulisko, a produkcje zaczniemy od października.

— Życie uczy, że najtrwalsze są prowizorki. Ale co ze słynną budową patetycznego kompleksu widowiskowego w Lublinie, która trwa już wiele lat i końca jej nie widać?

— Ten właśnie „koniec" mam w swoim programie wyborczym, jak również remont budynku po kinie „Staromiejskim", jednego z najstarszych obiektów teatralnych w Polsce, a także otwarcie w Lublinie wyższej uczelni artystycznej, żeby najzdolniejsi ludzie nie uciekali z naszego miasta.

— Wiem, że ma pan dwie córki, dorosłe, po studiach filologicznych, i troje wnucząt. Widzę piękną żonę. Po co panu jeszcze kandydowanie na radnego?

— Kandydowałem w poprzednich wyborach, ale na miejscu do „odstrzału" i nie zostałem wybrany. Kandyduję teraz, kiedy wszystkie miejsca są dobre, ponieważ uważam, że ktoś musi w Miejskiej Radzie Lublina gardłować za kulturą. Dotąd działo się tak, że jeśli trzeba było gdzieś coś zabrać, wówczas się odejmowało kulturze. To się musi zmienić! No i stary program rozwoju kultury powinien być uważnie przejrzany.

— Zna pan swoich konkurentów z „trójki" na liście wyborczej?

— Nie znam, lecz przypuszczam, że na listy kandydatów dostali się sami najlepsi. Reszta jest kwestią wyborców.

Rozmawiał:
Maciej Podgórski

W Ankarze

Maksymiliana Snocha oraz rzeźby Bogdana Markowskiego.

Gospodarze ulokowali naszą wystawę w sali na parterze, jednej z najlepszych w tym międzywojennym gmachu, którego struktura wewnętrzna kłóci się nieco z przestrzennymi potrzebami takiej imprezy, jak międzykontynentalne biennale. W dobrych miejscach umieszczono też sztukę francuską i turecką, o czym wspominam nie bez powodu.

Ekspozycję polską urządził pan Vural Yurdakul, malarz i konserwator obrazów, który swego czasu przebywał rok na stażu w Wilanowie, w wolnych chwilach przesiadując na Rynku warszawskiego Starego Miasta, gdzie kwitnie handel plastyką popularną. Jak na możliwości techniczne muzeum, Turek spisał się dobrze, z wyczuciem miejsca i czasu, co również chciałbym podkreślić. Inna sprawa, że gdyby nie pomoc naszej ambasady, a przede wszystkim Jerzego Drożdża, jej II sekretarza, byłyby pewne kłopoty z zawieszeniem grafik i rysunków wspomnianych lublinian.

Jak przyjęto sztukę polską na II Biennale w Ankarze? Powiem krótko: bardzo dobrze, z wielkim uznaniem... Jeszcze przed oficjalnym otwarciem wystawy gratulowali nam krytycy, dziennikarze, widzowie i wysocy urzędnicy ministerstwa kultury: pan Mehmet Özel, Dyrektor Generalny Sztuk Pięknych, i pan Tulga Ocakcioglu, odpowiedzialny w tym resorcie za sprawy plastyki, który zresztą żywo interesował się możliwościami zakupu reprodukcji polskiej grafiki, oczywiście niedostępnej na rynku tureckim — a szkoda!

Sporo ciepłych słów i rzeczowych ocen skierowali pod adresem naszych artystów i polscy dyplomaci: pan ambasador Pałasz, którego małżonka okazała się osobą dobrze zorientowaną w skomplikowanych przecież zagadnieniach sztuki współczesnej.

No i koniec z tą chwalbą, bo jako komisarzowi działu polskiego nie wypada mi chyba brnąć dalej tą wonną ścieżką — rutynową trasą wszystkich moich zacnych kolegów po fachu, którzy po powrocie do kraju z podobnych misji zagranicznych nieodmiennie ogłaszają, że „ich" artyści znów rzucili świat na kolana. A że nie ma na to konkretnych dowodów w postaci nagród lub pochlebnych recenzji, więc tym energiczniej zagaduje się sprawę, najchętniej w telewizji.

Tak się jednak składa, że polscy uczestnicy II Biennale w Ankarze otrzymali owe świadectwa nieprzeciętnej wartości ich prac. Decyzją międzynarodowego jury Jan Wojciech Malik uhonorowany został medalem srebrnym (nagroda Przyjaźni i Pokoju), zaś Teresa Miszkin — brązowym (nagroda Biennale Azja — Europa).

Będąc członkiem pięcioosobowego jury, starałem się jeszcze zwrócić uwagę Włoszki, Turka, Jugosłowianina (Shyqri Nimani z Kosowa) i Francuza na naszych grafików, którzy w tej technice nie mieli sobie równych na Biennale, co stwierdzam z całą odpowiedzialnością za słowo. Ale cóż, stało się, w sumie chyba nieźle, skoro na premierowej imprezie przyznano ogółem aż 23 nagrody, a na obecnej ledwie 9, z czego dwa złote i jeden srebrny medal otrzymali artyści tureccy, zaś jeden złoty i jeden srebrny — francuscy.

Na konferencji prasowej, poprzedzającej otwarcie Biennale, gospodarze oznajmili z przyjemnością, że Francuzi podjęli się promocji ich sztuki na Zachodzie, a samą imprezę strona turecka traktuje jako szlachetny argument w staraniach tego kraju o przyjęcie do EWG...

W II Biennale uczestniczyły 23 państwa, w tym — na zasadzie gościa poza konkursem — Meksyk. Artystyczny poziom wystawy okazał się, podobnie jak w 1986 roku, wielce zróżnicowany, a przy tym niemożliwy do poszatkowania na kierunki czy tendencje, co przecież charakterystyczne dla sytuacji sztuki w całym świecie. Zwrócę tylko uwagę, że modny wśród naszej młodzieży malarskiej nowy ekspresjonizm reprezentowany był przez pojedynczych ledwo malarzy (np. z Algierii i Węgier), a w twórczości krajów muzułmańskich krzyżowały się dwie tradycje kulturowe: zachodnioeuropejska i mahometańska (pismo arabskie i cytaty z Koranu w obrazach). Oprócz polskiej, wśród najciekawszych ekspozycji umieściłbym turecką (tak jest!), rumuńską (świetna rzeźba, lecz tylko medal brązowy dla Neculai Paduraru, którego typowałem do złota), węgierską (brak nagrody mógł nieźle dotknąć komisarza, Hedi Szőcs), i hiszpańską. Natomiast zdumiewająco przeciętny zestaw prac przysłał do Ankary Związek Radziecki, kierując tam zamiast wielkich i efektownych, małe i nudnawe płótna znanego w Polsce i RFN Narimenbekowa (z Baku). Kiepsko prezentowała się też sekcja chińska, tak liczna i miejscami wartościowa na I Biennale. „Nas tutaj nie rozumieją, więc poważniej traktujemy pokazy naszej sztuki na Zachodzie i w Związku Radzieckim" — wyjaśnił sprawę attache kulturalny ChRL w Ankarze, Zhou Wei-jun, z którym uciąłem sobie pogawędkę, po rosyjsku, na jednym z wystawnych bankietów tańcujących, odbywających się w najlepszych hotelach tego wielkiego miasta, liczącego bodaj trzy miliony mieszkańców.

Polska sztuka współczesna posiada dobrą opinię w Turcji, która może okazać się dla nas pomostem na Bliski i Daleki Wschód. Byle nie zabrakło nam konsekwencji i zrozumienia, że okazyjną obecność w Ankarze należy połączyć z permanentną działalnością promocyjną.

Tymczasem zabrakło jednak środków na pokrycie podróży polskich laureatów II Biennalae do Turcji, gdzie mieli przebywać przez dni dziewięć, zwiedzając Ankarę i Istambuł, pływając po Bosforze, swawoląc w Galata Tower — już na koszt gospodarzy.

Ireneusz J. Kamiński

Wybić się na niepodległość

Czerwona czy biało-czerwona?

Emil Horoch

POLSKI ruch robotniczy w momencie wybuchu I wojny światowej tworzył wielobarwną mozaikę. Był to wynik podziałów ideologicznych, organizacyjnych, terytorialnych i narodowościowych. Korzenie ich sięgały lat dziewięćdziesiątych XIX stulecia i okresu rewolucji 1905—1907.

W programach partii znalazły się tendencje klasowo-rewolucyjne (internacjonalistyczne), jak i narodowowyzwoleńcze. W konsekwencji powstały dwie orientacje. Pierwsza z nich preferowała tezę o prymacie odzyskania niepodległości, budowy własnego państwa, a dopiero w okresie późniejszym zbudowania w nim ustroju socjalistycznego na drodze legalnej, ewolucyjnej. Druga wychodziła z założenia, że obalenie ustroju kapitalistycznego przez rewolucję socjalistyczną stworzy warunki dla powstania ponadnarodowego systemu dyktatury proletariatu. Jako symbole personalne obu kierunków można podać dwa nazwiska: Bolesława Limanowskiego i Róży Luksemburg. W partiach politycznych polskiej klasy robotniczej (w dużym uproszczeniu) pierwszy kierunek reprezentowała PPS, drugi — SDKPiL.

Lewicę rewolucyjną w latach I wojny reprezentowały dwie partie: SDKPiL oraz PPS-Lewica. Skrzydło reformistyczne (narodowowyzwoleńcze) tworzyły PPS-Frakcja Rewolucyjna, PPSD działająca w zaborze austriackim, PPS Zaboru Pruskiego i Ogólnożydowski Związek Robotniczy — Bund. Rok 1914 postawił przed nimi konkretne pytania. Jakie zająć stanowisko wobec wojny? W jaki sposób powiązać te wydarzenia ze sprawami narodowymi Polaków?

Lewica uważała, że należy działać zgodnie z przyjętymi jeszcze przed wybuchem wojny ustaleniami II Międzynarodówki, które zakładały, że klasa robotnicza zajmie stanowisko antywojenne. W dalszej perspektywie przewidywano przekształcenie wojny imperialistycznej w wojnę domową o obalenie burżuazyjnego ustroju, o zwycięstwo rewolucji. W wydanej w sierpniu 1914 r. rezolucji grupy przywódców PPS-Lewicy i SDKPiL stwierdzono, że klasa robotnicza Królestwa jest przeciwna wojnie, która została rozpoczęta „w obcych nam lub wrogich interesach, imperialistycznych lub dynastycznych". W dalszym ciągu oświadczenia pisano, że robotnicy Królestwa nie poprą żadnej ze stron, gdyż wojna ta „nie jest wojną o Polskę". Cel, jaki stawiano przed robotnikami, był następujący: walka o zdobycze społeczne, demokrację i wolność narodową, a „w dalszym rozwoju wypadków wojennych szersza walka rewolucyjna stanie się możliwa, robotnicy polscy [...] podejmą wraz z towarzyszami rosyjskimi i innych narodowości państwa [rosyjskiego — E. H.] walkę z caratem o nieprzedawnione swe hasła".

Odmienne stanowisko po wybuchu wojny zajęły PPS-Frakcja Rewolucyjna i PPSD. Poparły one orientację na państwa centralne: Austro-Węgry i Niemcy. Działacze i członkowie obu partii zaangażowali się również po stronie Józefa Piłsudskiego, który był symbolem akcji zbrojnej przy boku armii austro-węgierskiej, wymierzonej przeciwko Rosji carskiej. PPS-Frakcja i PPSD w odezwie wydanej 6 sierpnia 1914 r. w Krakowie wezwały ludność Królestwa (obok innych stronnictw) do bojkotu mobilizacji do wojska rosyjskiego. Ignacy Daszyński, przywódca PPSD, podpisał odezwę Parlamentu Koła Polskiego, mówiącą o powołaniu Naczelnego Komitetu Narodowego i utworzeniu dwóch legionów polskich mogących walczyć „przeciw Rosji na ziemiach polskich w związku z monarchią austriacko-węgierską".

W 1915 r. nastąpiły zmiany na froncie wschodnim. W wyniku ofensywy armii austriacko-węgierskiej i niemieckiej Rosjanie opuścili Królestwo Polskie. Zostały utworzone dwie okupacje: niemiecka z siedzibą w Warszawie i austriacko-węgierska w Lublinie. Dla partii robotniczych zaistniały korzystniejsze warunki działania niż w państwie rosyjskim. Jak zareagowały oba skrzydła polskiego ruchu robotniczego na nową sytuację?

Zarząd Krajowy SDKPiL po wycofaniu się wojsk rosyjskich z Królestwa wydał odezwę we wrześniu 1915 r. Krytykowano w niej akcję PPS-Frakcji, określając ją jako socjalpatriotyczną. Podkreślano, że rządy niemiecki i austriacki są nadal wrogami klasy robotniczej. Zmianę może przynieść jedynie rewolucja europejska (międzynarodowa). Pisano, że „tylko działając solidarnie, łącznie z proletariatem innych krajów osiągnie proletariat polski zwycięstwo, wzniesie podwaliny **demokratycznej Polski**" [podkreślenie — E. H.].

Język tej odezwy odbiega od stereotypowych opinii, mówiących, że SDKPiL nie interesowała się zupełnie sprawami narodowymi. Tych opinii nie można odnieść do grupy krajowej, która, w przeciwieństwie do działaczy przebywających na emigracji, zwracała uwagę na kwestię narodową. Odezwa kończyła się wezwaniem do walki z wojną o rewolucję socjalistyczną.

PPS-Lewica swoje stanowisko w nowej sytuacji przedstawiła w Deklaracji politycznej, opublikowanej w grudniu 1915 r. Stwierdzono w niej, że obecna wojna prowadzi do kryzysu kapitalizmu. Partia, zgodnie z uchwałami narady w Zimmerwaldzie, opowiada się za agitacją antywojenną, walką o zaprzestanie wojny, walką z uciskiem narodowym i dążeniami zaborczymi państw imperialistycznych. Jako cel podstawowy wysuwano „realizację usamodzielnienia ekonomicznego, politycznego i narodowego naszego Kraju", które miało zależeć „od ogólnego układu sił i stosunków polityczno-społecznych, jak i od roli, jaką w tym układzie odgrywać będzie rewolucyjny ruch robotniczy".

Z partii robotniczych popierających koncepcje J. Piłsudskiego na plan pierwszy wysunęła się PPS-Frakcja. Jej sojuszniczka z Galicji — PPSD przestała być partią masową, a PPS-ZP na początku wojny praktycznie przestała istnieć. W opublikowanym okólniku w październiku 1915 r. CKR PPS-Frakcji opowiedział się za traktowaniem Austrii i Niemiec jako sojuszników w wojnie z Rosją. Celem dalszym było wykorzystanie okresu wojny przez naród polski do domagania się odbudowania niepodległego, demokratycznego państwa polskiego. Okupację Królestwa traktowała PPS-Frakcja jako stan przejściowy, licząc na to, że „rozumna polityka niemiecka musi zdawać sobie sprawę z tego, jak cennym dla Niemiec sojusznikiem byłoby Państwo Polskie, ponieważ Rosja nie pogodzi się z utratą zachodnich swoich posiadłości". Wobec władz okupacyjnych zalecono wystrzegania się „postępków nierozsądnych" i „nieodpowiedzialnych wybuchów rozdrażnienia". Miano tworzyć organizacje robotnicze, dbające o lepsze warunki socjalne dla mas pracujących i walczące o odrodzenie demokratycznego państwa. W tym dokumencie charakterystyczne jest odwołanie się do polityki Niemiec jako głównego czynnika ewentualnej odbudowy państwa. Było to zgodne z realnym układem sił w duecie austriacko-niemieckim, gdzie Berlin górował nad Wiedniem. Dostrzegł to i J. Piłsudski, który od połowy 1915 r. swe koncepcje wiązał raczej z Niemcami.

Potwierdzeniem tego stanowiska były uchwały XII Zjazdu PPS (Frakcji), w których opowiedziano się za utworzeniem niepodległego państwa polskiego z ziem zaboru rosyjskiego. Czytamy w nich m.in.: „PPS wierna swemu programowi dąży do urzeczywistnienia w obecnej chwili dziejowej niepodległego, demokratycznego Państwa Polskiego". Wobec władz okupacyjnych zjazd ostrzegał społeczeństwo przed „nie obmyślanymi i przedwczesnymi wybuchami".

W drugiej połowie 1916 r. w polityce Niemiec wobec Królestwa doszło do zmian. Koła wojskowe, licząc na rekruta polskiego, wystąpiły z koncepcją utworzenia buforowego państewka polskiego pozostającego pod całkowitą kontrolą Niemiec. Znalazło to wyraz w Akcie 5 listopada 1916 r., który zapowiadał odbudowanie państwa polskiego „z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem".

SDKPiL i PPS-Lewica w wydanych odezwach określiły akt jako komedię niepodległościową i farsę. Wskazywały, że Manifest niemiecki pomija całkowitym milczeniem sprawę zaboru pruskiego i Galicji. Wzywały do dalszej walki z wojną. Odmiennie zachowała się PPS-Frakcja i PPSD. Obie te partii poparły akt, a PPS-Frakcja uznała nawet, że jest to pierwszy etap rozwiązania sprawy polskiej.

Zasadnicze zmiany w sprawie polskiej przyniósł rok 1917 (patrz poprzednie artykuły w „Kamenie"). W państwie rosyjskim miały miejsce dwie rewolucje: lutowa i październikowa. PPS-Frakcja i PPSD wiązały wydarzenia w Rosji z bezpośrednią perspektywą wyzwolenia narodowego i utworzenia niepodległego państwa. Natomiast zdecydowanie odrzucały rozwiązania rewolucyjne, zasadę dyktatury proletariatu i wprowadzenie socjalizmu, uważając go za cel odległy. Traktowały rewolucję rosyjską jako zjawisko polityczne, a nie ideowe.

SDKPiL uważała, że rewolucja w Rosji jest początkiem zapowiadanej od dawna rewolucji powszechnej, która zakończy wojnę i zmiecie kapitalizm. Nawoływała robotników polskich do udziału w rewolucji. Nie wysuwała haseł niepodległościowych, uważając, że mają one na celu odgrodzenie ziem polskich od rosyjskiej i międzynarodowej rewolucji. Zwycięska rewolucja miała doprowadzić do ustanowienia dyktatury proletariatu w krajach walczących. Partia pokładała nadzieję, że osiągnięcie wizji Europy socjalistycznej (bez faz przejściowych) rozwiąże problemy narodowe i społeczne wielu krajów, w tym Polski.

PPS-Lewica w rezolucji politycznej konferencji partyjnej, która odbyła się w grudniu 1917 r., podkreślała, że „zdobycie władzy przez proletariat i urzeczywistnienie socjalizmu [...] zniesie wyzysk i zdruzgocze raz na zawsze łańcuchy niewoli skuwające ludy". Oskarżała PPS-Frakcję o przeszczepianie w szeregi proletariatu nacjonalistycznej ideologii burżuazyjnej. Celem partii miała być „walka z wojną i rewolucją, która odda władzę w ręce mas pracujących, nie zaś budowa burżuazyjnego państwa".

Polaryzacja stanowisk w polskim ruchu robotniczym pogłębiała się. Było to szczególnie widoczne w miesiącach, kiedy decydowały się losy rodzącej się niepodległości. Oba skrzydła odmiennie stawiały cele dla polskiej klasy robotniczej. PPS dawna Frakcja na XIV Zjeździe we wrześniu 1918 r. wyznaczała jako cel zasadniczy usunięcie okupantów i budowę zjednoczonej, niepodległej Republiki Ludowej, obejmującej wszystkie ziemie polskie. Ta koncepcja była realizowana przez PSS i PPSD w październiku i listopadzie 1918 r.

W grudniu 1918 r. z połączenia SDKPiL i PPS-Lewicy powstała KPRP. Nowa partia opowiedziała się za walką na drodze rewolucji o międzynarodowy system rad delegatów robotniczych. Nie doceniając kwestii narodowej, zbyt optymistycznie oceniając nastroje społeczne, komuniści uważali, że wysunięcie hasła odbudowy niepodległego państwa będzie oznaczało przejście na pozycje kontrrewolucyjne.

Natomiast powstała w kwietniu 1919 roku jednolita PPS stanęła na gruncie uznania państwa narodowego, które stopniowo miało przekształcić się w państwo socjalistyczne. Odrzucała wzory rewolucji rosyjskiej i hasło dyktatury proletariatu.

Komuniści widzieli drogę narodu polskiego poprzez natychmiastową rewolucję socjalistyczną, a jego miejsce w jednej Europie socjalistycznej. Socjaliści uważali, że najpierw odbudowa państwa, co było zgodne z nastrojami przeważającej części społeczeństwa polskiego, a dopiero później budowa socjalizmu w majestacie prawa.

Stanowisko, zajęte przez oba skrzydła polskiego ruchu robotniczego w momencie tworzenia się państwa, było wynikiem przyjętych wcześniej rozwiązań programowych.

Nieszczęściem polskich partii robotniczych był fakt, że jedno ugrupowanie akcentowało kwestie społeczne, dając prymat rewolucji socjalistycznej nad kwestią narodową. Drugie opowiadało się za programem państwa narodowego, nie doceniając kwestii społecznych. Ten dylemat przez długie lata będzie towarzyszył ruchowi robotniczemu w Polsce. Dopiero w latach II wojny światowej PPR harmonijnie połączyła sprawy narodu, państwa z potrzebą zmian społecznych. Ten punkt wejdzie na stałe do programu PPR i PPS w latach 1944—1948.

Polscy przesiedleńcy w ZSRR

„Mieżdunarodnaja Żizń" (nr 5/88) opublikowała dyskusję historyków radzieckich, poświęconą głównie tzw. białym plamom w historii stosunków Polski i ZSRR. Publikujemy wybrany z tej dyskusji fragment wypowiedzi Walentiny Parsadanowej (Instytut Słowianoznawstwa i Bałkanistyki AN ZSRR) na temat przesiedlenia ludności polskiej w ZSRR:

W ISTOCIE deportowanie ludności z zachodnich rejonów Związku Radzieckiego w latach 1939—41 odbywało się z pogwałceniem radzieckiej Konstytucji. Chociaż dokumenty wskazują na pewne różnice w podejściu do tej sprawy na Ukrainie, w Białorusi i na Litwie, była to samowola władz. Trzeba też powiedzieć, że wbrew pewnym spotykanym w Polsce twierdzeniom o antypolskim i nacjonalistycznym charakterze deportacji, dotyczyły one nie tylko polskiej ludności tych obszarów, ale również Ukraińców, Białorusinów i Żydów. Te przemieszczenia ludzi były następstwem walki klasowej oraz komplikacji związanych z kształtowaniem się władzy radzieckiej w nowych rejonach. Jednakże ta walka klasowa była prowadzona według błędnej stalinowskiej formuły — „kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam".

Ocena polityczna jest jasna, zadanie historyków polega na wyjaśnieniu: jak, kiedy, ile? Trzeba powiedzieć, że w Związku Radzieckim na razie problem ten absolutnie nie jest zbadany. Tak więc komisje, radzieckich i polskich naukowców, czeka dużo pracy.

Innym problemem jest charakter deportacji polskiej ludności. Zaproponowaliśmy naszym kolegom z PRL wyodrębnienie różnych fal przesiedleń. Umówiliśmy się, że nie będziemy uważać za deportację internowania żołnierzy polskiego wojska we wrześniu 1939 r., a wszystkie sprawy związane z tą armią obejmiemy odrębnymi badaniami. Następnie wykluczyliśmy z kategorii deportacji powołania do Armii Czerwonej, przenoszenie się Polaków z zachodnich rejonów Ukrainy i Białorusi w poszukiwaniu pracy do kopalń Zagłębia Donieckiego i na Ural, jak również wysiedlenia z obszarów przygranicznych, w których budowano umocnienia. Poza kategorią deportacji pozostaje też ewakuacja przemysłu i klasy robotniczej w okresie czerwiec — lipiec 1941 r.

Skąd Polacy wracali?

Mieczysław Wieliczko

KIEDY 9 maja 1945 roku dobiegła w Europie kresu II wojna światowa, ponad 5 milionów Polaków znajdowało się poza Krajem. Ta ogromna rzesza ludzka stanęła przed perspektywą „powrotu do ojczyzny". Dlaczego to pojęcie zakreśliłem cudzysłowem? Bo jest bardzo wieloznaczne, aczkolwiek na pozór wydaje się oczywiste.

Bywały powroty radosne i spontaniczne, choć na gruzy domostw i na groby bliskich. Zdarzała się repatriacja przez polskie władze państwowe rzeszy „displaced persons" (osób z Niemiec, Włoch lub Francji, poczuwających się do polskości). Wreszcie repatriacja z tzw. kresów wschodnich II Rzeczypospolitej za Bugiem albo z miejsc osiedlenia Polaków na terenie Czechosłowacji, Węgier, Rumunii i Jugosławii, nawet z państw zamorskich. Osobna sprawa to demobilizacja i powroty polskich żołnierzy z Zachodu.

Społeczeństwo polskie wychodziło z wojny dosłownie chore i okaleczone... Trudno ująć w liczbach następstwa „życia na niby" w warunkach okupacji, szkody w sferze psychiki, zjawiska demoralizacji, zaniku lub osłabienia norm moralnych (także zmiany uznanych wartości cywilizacyjnych), zerwanie więzi rodzinnych i zdeformowanie więzi społecznych, wreszcie urazy i obciążenia psychiczne, jakie przyniosła wojna jednostce ludzkiej. Są to wszystko obiektywne, ale i subiektywne zjawiska, składają się na obraz zbiorowości ludzkiej nazywanej narodem polskim na przełomie wojny i pokoju wiosną 1945 roku.

Liczby wskazują, że w owym obrazie dominowały powroty do kraju, jeśli wspomnieć, że w ciągu jednego roku od zakończenia wojny 3 miliony Polaków mieszkało już w nowym miejscu, pod dachem nowego domu. Żaden naród w tej części Europy nie przeżył podobnej migracji do ojczyzny, której terytorium uległo także zasadniczym zmianom, bo blisko 33 procent obszaru należało niedawno do innego państwa niż Polska. Inaczej mówiąc, 1/3 terytorium była ziemią obcą, choć nazywana „odzyskaną" bądź „dziedziną piastowską powracającą do Macierzy". To wszystko prawda, historyczna prawda, potwierdzona i utrwalona zwycięstwem, ale w 1945 roku w odczuciu osiedleńców, tam nad Odrą i Nysą, trzeba było rzeczywistość państwa polskiego dopiero ustanowić.

Ogromna rzesza spośród wszystkich Polaków przebywających poza krajem, poddana wojennemu przymusowi sytuacyjnemu, nie miała już powrócić do swoich siedzib mimo zakończenia wojny, bowiem z dawnego obszaru państwa, sprzed 1 września 1939 roku, 47 procent pozostawało za jego wschodnią granicą. I tu dotykamy jeszcze jednego dylematu w powrotach do ojczyzny, czyli wyboru pomiędzy ojcowizną a ojczyzną, gdyż przesiedlenie oznaczało w tym przypadku wyzbycie się podstaw dotychczasowej egzystencji i od pokoleń posiadanej dziedziny, na rzecz innej, nowej, nieznanej, wręcz obcej, choć polskiej. Przesiedlenie oznaczało zerwanie z krajobrazową swojszczyzną, wielowarstwową tradycją (często także wielowiekową), a więc bezpowrotną utratę wartości, które także symbolizował cmentarz z mogiłami przodków. Odejść trzeba było z lokalnej ojczyzny i zerwać te więzi, pójść do ojczyzny narodowej, państwa polskiego, a to oznaczało zyskanie nowego domu — rodzinnego i ojczystego.

Oczywiście, oznaczało to również powstawanie nowych więzi społecznych, całego ich systemu, ale dopiero powstawanie. Mógł ten proces przyspieszyć sposób przesiedlania, czyli przenoszenia lokalnej społeczności wiejskiej czy małomiasteczkowej razem na nowe miejsce, nawet z zachowaniem dawnej nazwy, ale nic z tego nie wyszło. Dominował chaos i żywioł, zaś na przenoszenie nazw władze się nie godziły, dając pierwszeństwo repolonizacji nazewnictwa miejscowego, albo tworzeniu nazw nowych, czasem symbolizujących wątki z najnowszej historii. Ta zaś była nazbyt świeża, często boleśnie przeżyta, nierzadko kontrowersyjna, by mogła być elementem więzi społecznej dla zbiorowisk ludzkich.

Łączyły się w jedno rozmaite ludzkie losy na drogach powrotów do ojczyzny, a także w nowym porządku, nowych siedzibach, gdzie pieczołowicie usiłowano odbudować byty „swoje" i wartości „swojskie". Ludzie potrzebowali „korzeni" w nowym krajobrazie i przestrzeni życiowej.

ZZA BUGA

Spośród wszystkich geopolitycznych kierunków powrotów do ojczyzny najbardziej skomplikowana była repatriacja ze Związku Radzieckiego. Repatriacja ta łączyła się ze zmianą obywatelstwa, zwolnieniem z obywatelstwa ZSRR („nabytego" decyzjami władz radzieckich z 1939 i 1943 roku przez ówczesnych mieszkańców ZSRR) w oparciu o prawo opcji — wyboru obywatelstwa, a tym samym wyboru miejsca zamieszkania. Kwestia ta wymagała uzgodnień międzyrządowych i porozumień, a do tego należało określić w liczbach negocjowaną „sprawę", zaś strona polska nie potrafiła sprecyzować żadnych liczb. Nie było bowiem wiadomo, ile osób w głębi ZSRR jest uchodźcami wojennymi z 1939 roku, ile przesiedlono czy repatriowano w latach 1939—1941, a ile aktualnie zamieszkiwało na obszarach Białorusi Zachodniej, Ukrainy Zachodniej i Litwy Południowej. Stąd ogrom wręcz trudności, które rozwiązywano, zawierając kolejne umowy.

Najwcześniej zawarte porozumienia pomiędzy PKWN a rządami radzieckich republik Ukrainy i Białorusi (9 września 1944 roku) i Litwy (22 września 1944 roku) dotyczyły zasadniczo wymiany ludności, czyli miały charakter akcji obustronnie przesiedleńczej, ale dotyczyły tylko części obszarów tych republik. W wyniku następnych rozmów zawarta została umowa pomiędzy Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej a rządem ZSRR 6 lipca 1945 roku, która ustalała tryb dalszego działania i objęła także obywateli polskich narodowości żydowskiej. Utworzono Polsko-Radziecką Kmisję Mieszaną, określono termin składania wniosków o opcję do 1 listopada 1945 roku, jednak wszystko to nie rozwiązywało skomplikowanych problemów migracji wojennych i przesiedlenia polskich mieszkańców z Wileńszczyzny, Podola, Wołynia, Polesia i dawnej Galicji Wschodniej. Powołano pełnomocników głównych w republikach (w Łucku dla USRR, Baranowiczach dla BSRR i Wilnie dla LSRR) oraz obwodowych i rejonowych.

Pośród wielu trudności, jak krótki okres starania o prawo opcji, problem szacunku mienia osób repatriowanych (domy, pola, sady itp.), zwolnienie ze służby wojskowej, odpowiedzialna praca zawodowa itd., akcja repatriacji ruszyła, ale do końca 1945 roku powróciło zaledwie około 22 tysiące osób, czyli mniej niż 10 procent przewidzianych do repatriacji. Stąd w listopadzie 1945 roku podpisano dodatkowe porozumienie i przedłużono po raz kolejny termin starań o opcję (do 15 czerwca 1946 roku). Zasadnicza więc repatriacja trwała właśnie w 1946 roku, kiedy do Polski przyjechało ponad 226 tysięcy Polaków z ZSRR.

Całą tę akcję wyprzedził oczywiście powrót „spoza gór i rzek", bowiem Korpus Polski w ZSRR pierwszy dotarł do Polski, choć jego żołnierze dopiero po demobilizacji stali się repatriantami. Ich opcja to był karabin i przelana krew w wojnie narodowowyzwoleńczej. Tuż za nimi podążała pierwsza fala repatriantów, także rodzin żołnierzy, przemieszczająca się na zachód na podstawie indywidualnych wiz wydanych przez władze radzieckie — od lipca 1944 roku do czerwca 1945 roku. Ile osób powróciło w tym okresie? Brak nawet obliczeń szacunkowych!

Dekretem PKWN z 7 października 1944 roku do kierowania ruchami migracyjnymi ludności powołany został Państwowy Urząd Repatriacyjny, którego zadaniem była repatriacja z obszarów innych państw i planowe rozmieszczenie tej ludności na ziemiach polskich. Tę ostatnią kwestię regulował dekret Rządu Tymczasowego z 7 maja 1945 roku, rozszerzający zakres działań PUR na wewnętrzne migracje obywateli polskich w nowych granicach państwa. Obok tego wiosną 1945 roku powołane zostało Biuro Generalnego Pełnomocnika Rządu ds. Repatriacji, które w sierpniu otrzymało statut organizacyjny. W jego ramach utworzono dwa nowe organy: Urząd do spraw Repatriacji Obywateli Polskich z ZSRR oraz Urząd do spraw Repatriacji Obywateli Polskich z Zachodu. To ostatnie określenie objęło wszystkie inne kraje poza ZSRR.

Zadaniem tych wszystkich urzędów było przygotowanie i zorganizowanie repatriacji, a następnie kierowanie repatriantów z pogranicznych punktów PUR do miejsc stałego zamieszkania. Złączenie stanowisk Generalnego Pełnomocnika i Kierownika PUR w jednym ręku uczyniło z Władysława Wolskiego jedynego w swoim rodzaju ministra — ministra migracji, kierującego powojenną repatriacją do Polski, przesiedleniami w Polsce (a także z Polski tych mniejszości narodowych, które zgodnie z umowami międzynarodowymi miały być wysiedlone z naszego kraju).

Z ZACHODU I POŁUDNIA

Najwięcej Polaków powracało jednak z Zachodu — ze stref okupacyjnych w Niemczech i Austrii, z wojennej diaspory w państwach Europy zachodniej, a także z krajów Europy środkowo-wschodniej. Trzeba stwierdzić, że repatriacja z tych ostatnich krajów była związana w pewnym stopniu z międzynarodowymi ustaleniami polsko-radzieckimi, bowiem na obszarach owych krajów działały Sojusznicze Komisje Kontroli (AMGOT) z szerokimi uprawnieniami i pod przewodnictwem wyższych dowódców radzieckich. Kwestia repatriacji wymagała uzgodnień z władzami wspomnianych krajów, których suwerenność określała Sojusznicza Komisja oraz z organami tej komisji. O ile kwestia migracji wojennej wydawała się oczywista i w zasadzie sprowadzająca się do problemów technicznych (transport, przekazanie migrantów punktom granicznym PUR), to skomplikowana była reemigracja ze względu na status obywatelstwa posiadanego przez „starą" emigrację (Polonię), albo ze względu na związki rodzinne migrantów z obywatelami tamtych krajów. Były i inne problemy proceduralne, jak brak stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Rumunią i Węgrami oraz niemożność ich uregulowania bez zgody Sojuszniczej Komisji Kontroli.

Zdawać by się mogło, że powstała sytuacja bez wyjścia, aż do czasu uregulowań pokojowych na szczeblu międzynarodowym. Z pomocą przyszła żywiołowa chęć powrotu Polaków do kraju, wobec której i Sojusznicze Komisje, i władze zainteresowanych krajów były na swój sposób bezradne. Repatriacja stanowiła następstwo zwycięstwa nad faszyzmem, a ponadto władze krajów, zmierzając do normalizacji, były zainteresowane pozbyciem się obcokrajowców-migrantów wojennych. Stąd — mimo braku formalnych uzgodnień — w Bukareszcie i Budapeszcie otwarto Biura Delegatów Rządu RP, a w ich ramach referaty repatriacji. W Budapeszcie otwarto też Delegaturę Polskiej Misji Repatriacyjnej w Wiedniu (placówka ta była ważna także ze względu na tranzyt z krajów bałkańskich i Austrii). W Pradze utworzono polską Misję Repatriacyjną (z Delegaturą w Pilźnie), a obok tego powstał w Czechosłowacji Centralny Komitet Pomocy dla Repatriantów Polskich, bowiem przez Czechosłowację wiodły trasy zorganizowanych transportów Polaków z południowej i zachodniej Europy. A obok tego przeciętnie 220 osób dziennie zgłaszało się indywidualnie w celu uzyskania pomocy (stosownych dokumentów) w dalszej wędrówce do Polski. Oni dosłownie piechotą wracali do Polski, byle szybciej, byle powrócić!

Spośród krajów bliskiego sąsiedztwa najwcześniej została wyzwolona Rumunia i już we wrześniu 1944 roku powstał tu Związek Patriotów Polskich, który w marcu 1945 roku przyjął nazwę Polskie Zjednoczenie Demokratyczne w Rumunii. Delegowało ono swoich przedstawicieli do Warszawy w celu nawiązania kontaktów z naszymi władzami i zorganizowania repatriacji. Niestety, aż do połowy 1946 roku brak w materiałach archiwalnych PUR jakiejkolwiek dokumentacji o transportach z Rumunii, ale prasa w Kraju odnotowała ich przybywanie (via Przełęcz Łupkowska — Sanok — Jasło — Tarnów — Kraków lub z Jasła do Rzeszowa), uroczyste powitanie w Krakowie lub Rzeszowie i tu ich „rozwiązywanie". Zjednoczenie oceniło liczbę „obywateli polskich" w Rumunii na 24 tysiące, zaś urzędowe dane za lata 1946—1950 odnotowują powrót raptem 291 osób. Tymczasem „Rzeczpospolita" (nr 253 z 18 września 1945 roku) podaje informację o przybyciu do Krakowa kolejnego transportu z Rumunii, który liczył 4 tysiące osób. Niech ten przykład wystarczy jako ilustracja trudności przy określaniu liczb w kwestii „powrotów do Ojczyzny".

20 kwietnia 1945 roku przybył do Rzeszowa pierwszy transport Polaków z Węgier — także przez Przełęcz Łupkowską, gdzie zawalony tunel omijała prowizoryczna linia kolejowa — dzieło radzieckich saperów — poprowadzona przez grzbiet górski, przez który pojedynczy wagon z ludźmi przeciągały na polską stronę dwie lokomotywy i tu znowu formowano pociąg. Akcję powrotów zorganizował Tymczasowy Komitet Obywatelski, powstały już 13 lutego 1945 roku w kilka dni po wyzwoleniu Budapesztu.

Do początków listopada wróciło z Węgier około 25 tysięcy osób i była to zasadnicza faza repatriacji z tego kraju.

Powroty z Jugosławii były całkowicie odmienne i dotyczyły dwóch kategorii ludzi. Pierwsza — to rzesza kilkutysięczna, „wyrzucona" do tej części Bałkanów przez różne okoliczności wojny. Druga — to zwarte osadnictwo sięgające 1889 roku, kiedy Polacy założyli w Bośni pierwszą z 24 osad, których mieszkańców w 1938 roku szacowano na 23 tysiące. Wielu spośród nich uczestniczyło w jugosłowiańskiej wojnie narodowowyzwoleńczej w jednostkach polskich i różnych formacjach (ośmiu partyzanckich dywizjach i pięciu brygadach). Kompania im. Starego (Marcelego Nowotki) wycofana została z linii walk dopiero 30 maja 1945 roku. Dwa tygodnie odpoczynku i 13 czerwca uroczysty raport na rynku w... Polskim Cieszynie, zdanie broni i rozwiązanie jednostki. Powrócili do Polski z bronią w ręku!

Sprawozdania PUR odnotowują za lata 1946—1950 powrót z Jugosławii tylko 440 osób. W rzeczywistości, na mocy porozumień międzyrządowych, w okresie od 28 marca do 5 listopada 1946 roku przybyły 33 transporty liczące łącznie 15 301 osób, zaś wiosną 1947 roku przybył jeszcze transport 100 rodzin. Szacuje się liczbę przybyłych z Jugosławii na około 18 tysięcy. Zostawili w Bośni i Słowenii ponad 12 tysięcy ha pól uprawnych, które ich dziadowie i ojcowie wykarczowali i uprawiali w 24 wsiach, zostawili 1 709 domów mieszkalnych, 5 kaplic i kościółek, cmentarze, szkoły, ojcowiznę — wybrali ojczyznę narodową, Polskę. Umieli po polsku, ale tylko bardzo nieliczni i sędziwi urodzili się na ziemiach polskich pod zaborami, skąd wygnała ich nędza. Powracali do Polski zupełnie im nie znanej i osiedlili się w okolicy Bolesławca.

Rozmaite były powroty do ojczyzny, podobnie jak rozmaite było o niej wyobrażenie i do niej przekonanie. Rozpoczynał się nowy, niezwykle ważny etap formowania narodu — proces narodotwórczy w nowych granicach i w obrębie nowej formacji społeczno-politycznej. Wiosna zwycięstwa 1945 roku była początkiem tych wielkich przemian.

pod wiatr

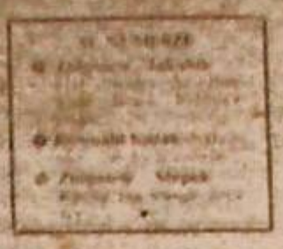

REDAKCJA

Polemika z rzeczywistością

PIERWSZEGO grudnia 1956 r. ukazał się w Lublinie pierwszy i zarazem ostatni numer dwutygodnika „Pod wiatr".

Pięciotysięczny nakład gazety został rozchwytany w ciągu godziny. Część egzemplarzy nie zdołała nawet dotrzeć do kiosków, bo numery pisma wykupowano „z ręki" pod drukarnią i pod lokalem redakcji.

Dzisiaj ten jedyny, niepowtarzalny numer „Pod wiatr" jest prawie nieosiągalnym bibliofilskim białym krukiem.

Pismo miało być „dwutygodnikiem studentów i młodej inteligencji" — jak głosił podtytuł. Już sama winieta (zaprojektował ją członek niedawno powstałej grupy plastycznej „Zamek", Tytus Dzieduszycki, wówczas jeszcze student biologii UMCS) swoją treścią i formą plastyczną — tymi dwoma krótkimi słowami, a także ostrym, dynamicznym liternictwem — zapowiadała, że „Pod wiatr" nie ma zamiaru być gazetą idącą na kompromisy, uładzoną, wyważoną. Potwierdzała to zresztą obszerna odredakcyjna nota, zamieszczona tuż pod winietą.

„Wydawanie nowego pisma w Lublinie — pisano w tym redakcyjnym przesłaniu — nie jest sprawą ambicji tego prowincjonalnego województwa ani sprawą ambicji zespołu redakcyjnego. Dwutygodnik »Pod wiatr« zrodził się dzięki Polskiej Październikowej Rewolucji i dzięki tkwiącej w każdym uczciwym człowieku potrzebie walki o postęp. W tamtych historycznych dniach tak zwana Rewolucyjna Grupa Studentów uczyniła więcej niż jakakolwiek inna organizacja partyjna czy społeczna. »Pod wiatr« będzie przede wszystkim kontynuacją inicjatywy podjętej przez szlachetną i patriotyczną młodzież polską. »Pod wiatr« chce być zawsze niezadowolone ze stanu aktualnego — chce skupić wokół siebie ludzi, którzy wierzą, że zatrzymać się w miejscu — to cofać się. Dwutygodnik nasz chce skupić wokół siebie tych, którzy zahartowali się w walce z różnymi wiatrami wiejącymi w twarz i zdołali uchronić najcenniejsze, co posiadamy — wiarę w człowieka".

Wydawcą pisma były — jak głosiła redakcyjna stopka — Wojewódzki Zarząd Związku Młodzieży Polskiej oraz Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich. W dziesięcioosobowym kolegium redakcyjnym znaleźli się młodzi lubelscy działacze polityczno-społeczni, działacze kultury, młodzi artyści i dziennikarze: Alina Aleksandrowicz, Janusz Danielak, Zofia Dublewicz, Tytus Dzieduszycki, Zygmunt Łupina, Stanisław Markiewicz, Waldemar Mietkowski, Leszek Siemion, Zbigniew Stepek, Piotr Żbikowski. Niektórzy z nich już w poprzednich latach byli związani z uniwersyteckimi pismami „Życie UMCS" i „Życie Akademii", inni działali w Klubie Młodej Inteligencji, jeszcze inni byli członkami Rewolucyjnej Grupy Studentów i współorganizatorami wiecu ludności Lublina, który odbył się 23 października 1956 r. w miasteczku uniwersyteckim. Zofia Dublewicz i Leszek Siemion wchodzili w skład zespołu redakcyjnego „Sztandaru Ludu", a wkrótce miał się znaleźć w „Sztandarze" także Janusz Danielak. Jeżeli zaś chodzi o tzw. aktyw pozaredakcyjny nowego dwutygodnika, to w pierwszym numerze „Pod wiatr" znalazł się także materiał innego dziennikarza „Sztandaru Ludu", Ryszarda Gontarza, zaś na ostatniej kolumnie zamieszczono satyryczny rysunek związanego ze „Sztandarem" Edmunda Szubiaka.

Co więcej — adres redakcji „Pod wiatr" brzmiał: „Lublin, Aleje Racławickie 1, p. 38 (parter), telefon 13-19". Był to zarazem adres i lokal redakcji „Sztandaru Ludu", mieszczącej się, tak jak i dzisiaj, na parterze gmachu KW PZPR.

Choć pismo było, jak podkreślono w stopce, „redagowane kolegialnie", za jego naczelnego redaktora należałoby uznać Zbigniewa Stepka. Niedawny absolwent polonistyki na KUL, młody pisarz, współpracownik „Kameny" oraz prezes koła młodych literatów, działającego wówczas pod patronatem ZMP był Stepek inicjatorem i główną siłą napędową owego raczej „na dziko" powstałego wydawniczego przedsięwzięcia. To on zebrał zespół redakcyjny, organizował materiały i on nadawał ton powstającemu dwutygodnikowi.

„Pod wiatr" powstało niejako samorzutnie. Narodziło się na fali ówczesnych nastrojów i — w sposób charakterystyczny dla czasu rewolucyjnych przemian — nikt nie pytał „odnośnych władz" o pozwolenie na tę publikację, nikt pisma nie zatwierdził „odgórnie". Papier wzięto z jakichś drukarnianych czy też uczelnianych zapasów. Dzięki owej prowizorce łatwiej później przyszło „Pod wiatr" zlikwidować!

Leszka Siemiona należy chyba uważać za sui generis sekretarza redakcji. On jeden spośród całego redakcyjnego kolegium znał się na robieniu pisma, na technicznej stronie wydawania gazety. To właśnie on mógł być pomysłodawcą umiejscowienia powstającego dwutygodnika w lokalu „Sztandaru Ludu", gdzie wszak sam pracował.

Z przeszłości Lublina

Burzliwe dni Jesziwy Mędrców

Jerzy Doroszewski

ŚWIETNOŚĆ i znaczenie Jeszywas Chachmej Lublin, jak w pełnym brzmieniu nazywała się ta uczelnia, związane były z osobą jej twórcy, z całą pewnością wybitnego rabina, jakim był Majer Szapira. Wszechstronnie wykształcony, doskonały mówca, cieszył się ogromnym autorytetem wśród żydowskiego społeczeństwa ortodoksyjnego nie tylko Lublina czy Polski. Jemu zawdzięczano zgromadzenie ogromnych środków finansowych na wybudowanie i wyposażenie uczelni. On kształtował jej charakter naukowy i oryginalną atmosferę wzajemnego szacunku, pracy, dogłębnych studiów.

Od razu jednak trzeba powiedzieć, że przez cały okres budowy i tworzenia tego zakładu naukowego towarzyszyły mu wydarzenia ciekawe, czasami burzliwe, o różnym zabarwieniu i rozmiarach. Często nosiły one znamiona sensacji bądź wręcz skandalu, obrastały w plotkę, przez co stawały się powszechnie znane. Wynikało to z ogólnej sytuacji, jaka istniała wśród społeczeństwa żydowskiego w Polsce, które przez cały okres międzywojenny wykazywało ogromne zróżnicowanie pod względem kulturalnym, umysłowym, ideowym i religijnym. Różnice te często przybierały formy otwartej walki, głównie propagandowej, przy wykorzystaniu prasy, zebrań i wieców. Niejednokrotnie uciekano się także do rękoczynów.

W tej atmosferze wzajemnej nieufności powstawał lubelski Jeszybot i obok dużej liczby Żydów wierzących, którzy gorąco popierali i obficie wspierali budowę Jesziwy Mędrców Lublina, była też liczna grupa przeciwników. Usiłowała nie tylko bojkotować powstający zakład, ale prowadziła różne akcje zmierzające do zahamowania toku prac bądź też zakłócenia w ogóle ustalonego porządku. Protesty te przybrały na sile już w dniu położenia kamienia węgielnego pod nową uczelnię, tj. 22 maja 1924 r. Sama uroczystość położenia kamienia węgielnego została zaplanowana przez jej organizatorów z wielkim rozmachem. Odpowiednio rozpropagowana na terenie całego kraju, zgromadziła około 60 najwybitniejszych rabinów i około 2 tys. osób z różnych regionów Polski. Przyjeżdżających witano na ulicach Lublina, a wiele budynków ulicy Lubartowskiej, którą przyjezdni udawali się na miejsce uroczystości, zostało udekorowanych różnokolorowymi dywanami i napisami w języku polskim bądź hebrajskim. Najczęściej powtarzało się hasło: „Witajcie mili goście". Najwięcej zgromadzonych pochodziło oczywiście z Lublina i miejscowości podlubelskich. Wedle oficjalnych meldunków urzędowych, w uroczystości wzięło udział około 20 tys. osób.

Majer Szapira

Przeciwnicy tej wielkiej manifestacji religijnej, wywodzący się z różnych środowisk i reprezentujący różne odłamy orientacji demokratycznych, lewicujących, a także antagoniści ortodoksji, postanowili przeciwdziałać. Na ten dzień zamierzali oni zorganizować kontrmanifestację. W tym celu ich delegacja pod przewodnictwem przedstawicieli Bundu udała się do starosty lubelskiego z prośbą „o pozwolenie na urządzenie zebrania i pochodu". Ponieważ władze administracyjne były doskonale zorientowane w ich zamiarach (wcześniej podnosiły się nieprzyjazne Jeszybotowi głosy na różnego rodzaju zebraniach, ukazywały się jątrzące ulotki), zezwolenia takiego nie wydały ze względu, jak to określono, „na możliwość ekscesów". To, że nie doszło w ostateczności do większych zaburzeń, było zasługą przede wszystkim organów porządkowych.

Antagoniści Jesziwy nie zaprzestali i później manifestacji i do nowego starcia chcieli doprowadzić 24 czerwca 1930 r., a więc w dniu oficjalnego otwarcia uczelni. Podobnie jak poprzednio, w uroczystości wzięły udział wielotysięczne rzesze żydowskiego społeczeństwa ortodoksyjnego. Organizatorzy zamieszek, ponieważ znowu wkroczyła policja, ograniczyli się jedynie do prób wywołania tumultu, wygłaszania wrogich haseł i wznoszenia okrzyków.

Numer „Pod wiatr" miał format 35x45 cm oraz osiem stron objętości. Wydrukowany został w Lubelskiej Drukarni Prasowej, mieszczącej się wówczas w niskim, parterowym budynku przy Krakowskim Przedmieściu, w miejscu, gdzie dzisiaj wznosi się gmach „Gracji".

Już ten pierwszy numer jasno rysował profil gazety — jako periodyku publicystyczno-literackiego o wyraźnym zacięciu politycznym.

Numer otwierał wielki artykuł Waldemara Mietkowskiego (studenta prawa UMCS, znanego działacza studenckiego, współzałożyciela Rewolucyjnej Grupy Studentów), zatytułowany: „Polemika z rzeczywistością". Był on jakby wykładnią nastrojów i przekonań właściwych dla ówczesnego młodego pokolenia Polaków.

Ale prawdziwymi „bombami" pierwszego numeru „Pod wiatr" były dwa zupełnie inne materiały: wielki, zajmujący prawie dwie kolumny (trzecią i szóstą), opatrzony licznymi zdjęciami, reportaż Jana Rzechowskiego o niedawnych krwawych zajściach w Budapeszcie, zatytułowany: „A Szabadsaghoz... Wspomnienia naocznego świadka" („Ku wolności"), oraz na drugiej stronie pisma: „List otwarty do tow. tow. członków Biura Politycznego KC", pióra „byłego żołnierza Armii Krajowej", Zbigniewa Jakubika.

Jan Rzechowski (młody lubelski lekarz czy też inżynier?) przebywał w końcu października 1956 r. wraz z grupą rodaków w Budapeszcie. Obserwował z bliska, począwszy od 23 października, to znaczy od samego początku, od wiecu tamtejszej ludności pod pomnikiem Petöfiego, dramatyczne wypadki w stolicy Węgier. Jego relacja jest tak dynamiczna, tak doskonale napisana, że jeszcze dzisiaj, po z górą trzydziestu latach, czyta się ją dosłownie z zapartym tchem. Co ciekawsze, Rzechowski nigdy nie parał się zawodowo piórem. Swój reportaż napisał niejako pod przymusem, zamknięty podobno przez dwie doby na klucz przez kolegów z „Pod wiatr" w jednym z pokoi redakcyjnych...

Wspaniale napisany, gorący, pełen godności, mądry „List otwarty..." lubelskiego literata Zbigniewa Jakubika, byłego partyzanta z Zamojszczyzny, uczestnika bitwy w Puszczy Solskiej (w przyszłości autora doskonale przyjętej przez czytelników i przez krytykę literacką książki „Czapki na bakiem") zaczynał się słowami:

„Mówię w imieniu umarłych. Gdy w czerwcu roku 44 piętnaście dni leżałem konający na bagnach józefowskich, umierałem głęboko przeświadczony, że naród polski właściwie oceni w przyszłości nasz wkład w dzieło zbrojnego wyzwolenia. Po latach wyczerpującej walki ze śmiercią i kalectwem, dzięki ofiarnym wysiłkom ludzi, którym wszystko zawdzięczam — ocalałem, po to jedynie, by być milczącym, bezwolnym świadkiem codziennego bezczeszczenia pamięci poległych i systematycznego prześladowania żywych"...

Jakubik oskarżał, piętnował winnych, wskazywał na źródła zła i bezprawia, jakie pleniły się przez dwanaście ostatnich lat. Lecz pisał także: „Zmarłym nikt życia nie wróci. Szczegółami kapturowych wyroków zajmie się niewątpliwie specjalna komisja. Pozostają żywi... Pozostaje żmudna droga leczenia starych, ropiejących przez dwanaście lat ran, usuwania urazów i uprzedzeń, długotrwała reedukacja społeczna wielu dziesiątków tysięcy zarażonych niechęcią i nieufnością do socjalizmu. Pozostaje przede wszystkim zadanie najpilniejsze: przekreślić w świadomości poważnej części byłych partyzantów szkodliwy znak równości między socjalizmem a stalinizmem oraz wrócić utraconą na długich dwanaście lat Ojczyznę tym, którzy o Nią walczyli, za nią umierali, dla niej błądzili".

Poza wspomnianymi tutaj dwoma czołowymi materiałami numeru, odznaczał się bezkompromisowością w przedstawianiu faktów reportaż początkującego dziennikarza (jeszcze studenta prawa UMCS) Romualda Karasia, zatytułowany „Dziesięć dni to niewiele. Kartki z dziennika". Ukazywał on z brutalną wręcz szczerością smutne doświadczenia grupy lubelskich studentów, którzy w tzw. czynie młodzieżowym wybrali się na wykopki ziemniaków do jednego z pegeerów w województwie olsztyńskim. Karaś piętnował bałagan, bezład organizacyjny, bezmyślność, głupotę, a także ludzkie chamstwo, których on i jego koledzy byli świadkami. Trzeba przyznać, że było to absolutne novum dla czytelników, karmionych dotąd zazwyczaj przez prasę zupełnie innymi dziennikarskimi sprawozdaniami z „radosnej" wiejskiej rzeczywistości połowy lat pięćdziesiątych. To chyba ten właśnie materiał stanowi pierwsze słowo w późniejszej reporterskiej karierze Karasia.

Poza tym znalazło się w numerze opowiadanie Zbigniewa Stepka, wiersze Stefan Zarębskiego i Andrzeja Tchórzewskiego, recenzja pióra Józefa Zięby ze sztuki Artura Marii Swinarskiego „Ararat", wystawionej właśnie w lubelskim teatrze im. Osterwy (notabene Kazimierz Iwiński grający w sztuce biblijnego Noego, ucharakteryzowany został na... Władysława Gomułkę). A także m. in. artykuły publicystyczne Krystyna Wiesławskiego, Ryszarda Gontarza, miniatury literackie Janusza Danielaka, filozoficzno-humorystyczna przypowiastka, której autorem był Bogdan Dziemidok. Jedna z zamieszczonych na ostatniej stronie „Fraszek historycznych" Zbigniewa Stepka, zatytułowana „Niestety", brzmiała:

Głupi z szują —
dyskutują.
Ci co wiedzą —
cicho siedzą.

Jak się rzekło, pierwszy numer „Pod wiatr" był zarazem ostatnim numerem tego ambitnego, wartościowego, ale dla niektórych n a z b y t bojowego pisma.

Do dziś krąży po Lublinie legenda, że „Pod wiatr" zlikwidowano jakoby na wniosek samego Władysława Gomułki. O wiele jednak bardziej jest prawdopodobne, że stało się to za sprawą samych tutejszych lubelskich władz, które po prostu chciały „mieć spokój".

Gotowy prawie do druku drugi numer „Pod wiatr" (materiał był już złożony na linotypach i odbity w drukarni na tzw. szczotkach) nigdy nie poszedł na maszyny drukarskie. Nawet nie wiadomo dokładnie, jakie materiały wchodziły w skład tego drugiego, nie wydanego numeru. Papier jest kruchy, pamięć ludzka zawodna, a nieformalny redaktor naczelny pisma, Zbigniew Stepek, literat, dziennikarz oraz alpinista, od kilkunastu już lat spoczywa, przywalony lawiną w Himalajach...

Tylko jeden dokument zaświadcza o tamtym nigdy nie wydrukowanym numerze: zachowany w rękach rodziny maszynopis zakwalifikowanego wówczas do druku (z adnotacjami poczynionymi ręką Leszka Siemiona) opowiadania Marii Szczepowskiej — „Wielki Bimbajło", napisanego zresztą jeszcze w roku 1952. Opowiadania, które ze względu na swoją treść i wymowę (czerpiące z doświadczeń autorki w jednym ze stalinowskich łagrów) przez wiele jeszcze następnych lat odrzucane miało być przez kolejne czasopisma oraz wydawnictwa. Dopiero teraz, po trzydziestu sześciu latach od chwili powstania, „Wielki Bimbajło" trafia do czytelnika (patrz str. 8—9 niniejszego numeru „Kameny").

Mirosław Derecki

Uczelnia rozpoczęła swoje funkcjonowanie, tak jak w okresie budowy jej gmachu, z doskonałą organizacją, wyposażeniem i przy udziale wybitnych wykładowców-rabinów, którym przewodził twórca Uczelni Mędrców Lublina, pierwszy jej rektor — Majer Szapira. Jego autorytet był tak duży, że nikt nawet nie myślał, by na stanowisko to mógł być powołany ktoś inny (został na nie wybrany przez Kolegium w sposób bezdyskusyjny). Przez cały okres pełnienia przezeń tej funkcji panowała w uczelni atmosfera spokoju, pracy, nauki. Jednak 27 października 1934 roku Majer Szapira zmarł. Wraz z jego śmiercią skończył się właściwie okres świetności lubelskiej wyższej szkoły rabinackiej.

W tym miejscu należy wspomnieć o panujących zwyczajach wśród ortodoksyjnego społeczeństwa żydowskiego. Otóż od lat utarł się zwyczaj, że każdy rabin miał swoich zwolenników i na nich właściwie opierał swoje stanowisko w hierarchii duchownej. Podobnie było również w Jeszybocie, gdzie każdy z rabinów miał swoich zwolenników wśród słuchaczy, a ci nigdy nie stanowili zespołu jednolitego. Dokąd jednak żył i pełnił obowiązki rektora Majer Szapira, wszystkie ugrupowania, a nawet i małe grupki, nie uzewnętrzniały swoich postaw — jego wyjątkowa osobowość i duża umiejętność kierowania uczelnią akceptowane były bez wyjątku przez wszystkich, a więc wykładowców-rabinów i słuchaczy. Po jego śmierci natychmiast rozgorzała wśród rabinów walka o sukcesję po zmarłym, a każdy z rywalizujących wykorzystywał swoich zwolenników spośród słuchaczy. Z rywalizacji tej zwycięsko wyszedł ostatecznie Szloma Ajger, który został powołany tymczasowo rektorem uczelni. I był to krok, który doprowadził wręcz do wielkiej rewolty w murach Jesziwas Chachmej Lublin — niektórzy rabini poczuli się pokrzywdzeni, uważali, że właśnie oni powinni objąć to stanowisko i nie zamierzali pogodzić się z porażką.

Grono opozycjonistów wzrastało i w pierwszych miesiącach 1935 roku na ogólną liczbę 260 słuchaczy przeciwnicy nowego rektora i Kolegium stanowili ponad połowę, przy czym około 100 zachowywało się stosunkowo biernie, natomiast około 50 przystąpiło do zdecydowanych działań. Kierownictwu uczelni zarzucano brak właściwej troski o dalszy jej rozwój, niedostateczną dbałość o zapewnienie należytych warunków materialnych dla słuchaczy i przede wszystkim zawężenie programu nauczania. Szczególnie akcentowano ten ostatni argument — obok studiów nad Talmudem i całą literaturą talmudyczną oraz kodeksami i komentarzami, domagano się wykładów nauk świeckich, głównie języka polskiego (czemu sprzeciwiał się Szloma Ajger). Żądania były o tyle przekonywające, że kandydaci na rabinów i podrabinów zobowiązani byli do złożenia przed komisją powołaną przez Urząd Wojewódzki w Lublinie egzaminu z języka polskiego. Dopiero uzyskanie świadectwa o pomyślnym złożeniu takiego egzaminu upoważniało ich do objęcia odpowiednich stanowisk.

Przedstawiane zastrzeżenia, choć w miarę wiarygodne, były tylko pretekstem. W istocie rzeczy miały prowadzić do podważenia zaufania, pomniejszenia autorytetu i wykazania nieudolności nowego kierownictwa uczelni. W konsekwencji zaś miały się przyczynić do dalszych zmian organizacyjnych i objęcia kierowniczych stanowisk przez przedstawicieli opozycji. Formy walki były różne: wypisywano krytyczne hasła, bojkotowano zajęcia, a w końcu wydano ulotkę rozpowszechnianą w Lublinie, w której przesadnie krytykowano panujące stosunki na uczelni.

Stanu takiego nie zamierzał tolerować tymczasowy rektor, do rozstrzygnięcia batalii szykowali się również jego przeciwnicy. Momentem zwrotnym w istniejącym konflikcie stało się zbiorowe powitanie przez słuchaczy, zaangażowanego w charakterze wykładowcy, rabina Szymona Zelichowera (należącego do opozycji). Tymczasem Szloma Ajger został definitywnie mianowany rektorem i z chwilą umocnienia swojej pozycji postanowił ostatecznie rozprawić się z przeciwnikami — w pierwszej kolejności z organizatorami wspomnianego zbiorowego powitania.

11 lutego 1935 roku podjęto decyzję o usunięciu z uczelni dwu najbardziej agresywnych słuchaczy. Ci jednak, przy wtórze swoich kolegów wykrzykujących różne hasła, odmówili opuszczenia gmachu i wmieszali się w tłum. Rektor postanowił wszak wyegzekwować swoją decyzję. Ostatecznie wezwano policjantów, lecz ci zachowywali się biernie. W ich obecności woźni szkolni (z kijami w ręku) próbowali siłą wyrzucić dwu wydalonych, ale i to nie przyniosło rezultatu, bowiem natychmiast podniósł się tumult i wrzawa, a obydwaj ukarani znowu zniknęli w tłumie. W końcu jeden z nich usłuchał wezwań i opuścił budynek, lecz w nocy wybił w oknie szybę i ponownie dostał się do internatu.

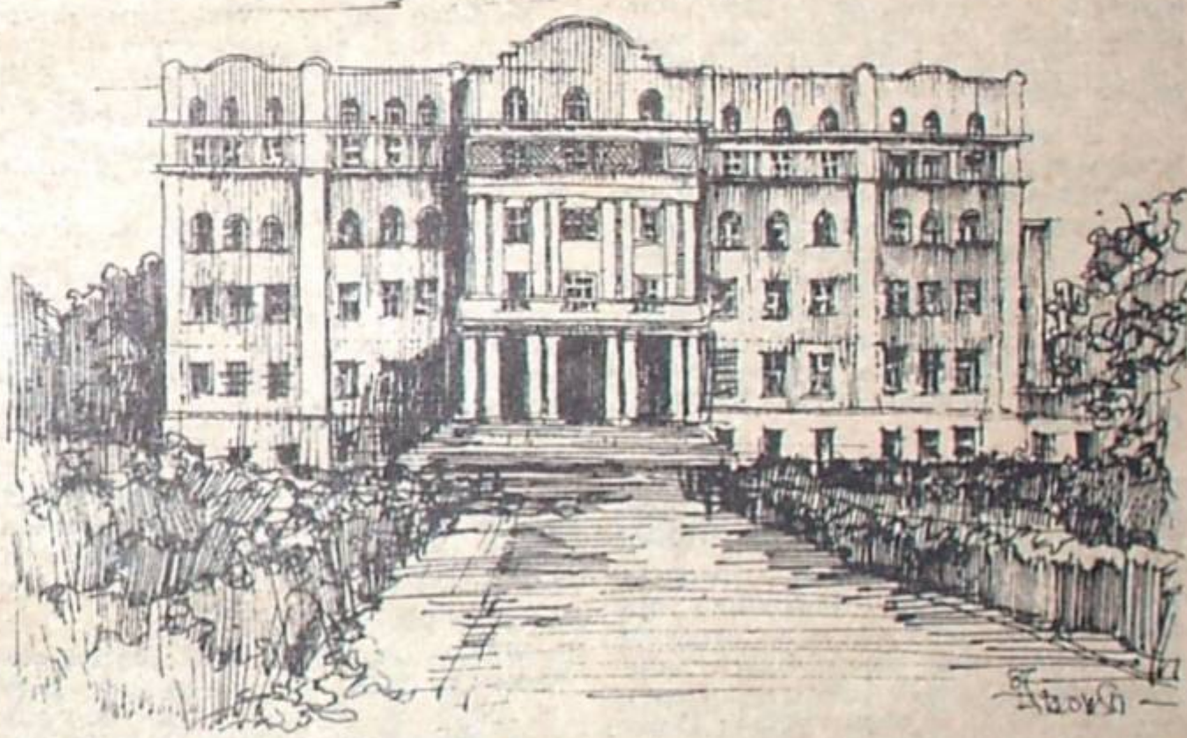

Budynek Jeszywas Chachmej Lublin — **Rys. Józef Tarłowski**

Natychmiast ukazała się kolejna ulotka donosząca o zaistniałych wydarzeniach. Podobnie jak poprzednio wyolbrzymiano w niej przebieg i rozmiary wypadków, m. in. informowano, że podczas zajść stosowano terror, używano przemocy, bito i szczuto psami słuchaczy. Przeprowadzone w tej sprawie dochodzenie policyjne nie potwierdziło podawanych faktów. Ustalono jedynie, że nakład ulotki wynosił 500 egzemplarzy, a zamawiający w drukarni podali fałszywe nazwiska.

Echa wydarzeń w Jeszybocie rozniosły się szybko po całym Lublinie, krążyły ulotki, na zasadzie plotki dorabiano nowe i różne wersje konfliktu. Sprawa stała się niezwykle głośna nie tylko wśród Żydów, ale również w całym społeczeństwie miasta. Zarząd uczelni zorientował się, że nie jest w stanie opanować sytuacji i zdecydował się na podjęcie kroków niezwykle rygorystycznych, które wcale nie przysporzyły mu autorytetu — postanowiono zawiesić zajęcia i do 19 lutego 1935 roku wszyscy słuchacze musieli opuścić uczelnię. Przerwa trwała do końca kwietnia i w tym czasie dokonywano ponownych wpisów. Ostatecznie przyjęto około 200 osób, pozostałej części (około 60 osób, znanych z wcześniejszych wydarzeń) odmówiono przyjęcia.

Bezwzględne działania administracyjne doprowadziły ostatecznie do uspokojenia sytuacji, ale wcale nie przyczyniły się do wzrostu powagi i autorytetu kierownictwa Jesziwy Mędrców Lublina. Wytworzona niekorzystna atmosfera utrzymywała się jeszcze przez dość długi czas, właściwie do wybuchu wojny. Okres świetności tej uczelni skończył się praktycznie z chwilą śmierci jej twórcy i pierwszego rektora, Majera Szapiry. Jego następcy nie dorównywali mu ani wiedzą, ani autorytetem. Nie potrafili też utrzymać tej wspaniałej atmosfery pracy, nauki, ładu i porządku, jaka istniała w pierwszych latach. I choć odbywały się normalne zajęcia oraz ciągle wzrastały zasoby bibiloteczne, do których przybywały bezcenne egzemplarze z zakresu literatury talmudycznej i unikalne starodruki, w życiu codziennym brakowało klimatu autentycznej troski, wzajemnej życzliwości i spokoju.

MARIA SZCZEPOWSKA urodziła się 15 sierpnia 1919 r. w Wilnie. Dzieciństwo — na Wołyniu; potem Gimnazjum W. Arciszowej w Lublinie; matura — w Łucku. Dwa przedwojenne lata — w Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie. W kwietniu 1940 r. deportowana z rodziną z Wołynia do Kazachstanu. Aresztowania, łagry. W 1946 r. wraca do Polski, do Lublina. Studiuje polonistykę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pisze wiersze, reportaże, opowiadania, które ukazują się w „Kamenie", „Twórczości", „Życiu Literackim", „Nowych Sygnałach", „Więzi" i „Sztandarze Ludu". Tomik wierszy pt. „Tarnina", Wydawnictwo Lubelskie (1960 r.). Tłumaczy poezję francuską i rosyjską. W 1960 r. przenosi się do Warszawy. Tam umiera 21 kwietnia 1985 r. Większa część spuścizny Marii Szczepowskiej czeka na druk. Opowiadanie „Wielki Bimbajło" ukaże się w przygotowywanym do druku przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik" zbiorku pt. „Sosenka i inne opowiadania".

Wielki Bimbajło

Maria Szczepowska

ZPOCZĄTKU nazywali go wielkim, z przydomkiem: dureń, co po rosyjsku zresztą brzmi łagodniej: balszoj durak, ale od chwili, gdy go przechrzciła babcia Zubowa, do samego końca pobytu w Dolince, został Wielkim Bimbajłą, choć na imię mu było po prostu Iwan.

Lat miał dwadzieścia kilka, lniane włosy zaczesane w kozacką grzywkę, duże dziecinnie niebieskie oczy i gapiowate usta. Opinię niedorozwiniętego i lenia. Urodził się w Woskresence, akmolińskiej wiosce, która wraz z kolektywizacją przybrała miano kołchozu Stalinowskie Słońce. W wieku lat osiemnastu wywędrował w świat, bo go zachęciły jabłka i dobre roboty ałmaatyńskie, a w domu, co tu gadać, makuch, otręby, szczaw. Czczo na żołądku. Po drodze zawędrował do kopalni Majkain-Zołoto.

— W sklepach — mówił, z rozczuleniem wspominając tamte czasy — wszystko, czego dusza zapragnie. Bierz, ile chcesz, byleby ci pieniędzy starczyło: i cukierki, i czekolada, i herbatniki, i mięso, i konserwy; chleba chot' zawaliś. Psy karmiliśmy czekoladą. A manufaktura! Ojojoj! W sklepie, bywało, można za pięćset rubli gotowy garnitur kupić. Wełniany! Granatowy!

— Nie łżyj — ponuro odpowiadał Ałbakir, który od ośmiu lat prócz łagiernej zupki nic więcej nie widział.

— Jak Boga kocham. A stołówka! Ale do stołówki nikt nie chodził, bo i po co. Ot, co. Ot, zbierzemy się w trzech, kupimy parę kilo chleba, ze trzy cynamonu, litr wódki i obiad gotów. Drożej niż w stołówce, ale oczywiście smaczniej.

— No a po cóż cynamon? — pytała babcia Zubowa.

— Jak to?! Tłuczony! Zmieszany z cukrem sprzedawali.

— I czemu tam nie zostałeś?

— Na Bajkale, mówią, istny raj. Cóż w Majkainie — nie złoto, a piasek. Strażnicy pilnują, ani grama nie weźmiesz. Na Bajkale, powiadają, złoto w bryłach leży. Znajdziesz taką grudę jak pięść i bierzesz. Nikt ci słowa nie powie, bo tam nikogo nie ma. Na Bajkale ciężka praca, więc żeby sobie robotnika zjednać, cztery razy tyle płacą co gdzie indziej. Nie głupi byłem w Majkainie zostawać, kiedy mi się dobre życie samo pchało w ręce.

— No i co?

— Zwolnienia nie dawali, więc rzuciłem pracę. Jechałem bez przepustki, to złapali i posadzili. Na dwa lata tylko, bo to pierwszy raz. Należało się pięć.

Po dwóch latach wypuścili go z łagru, więc wrócił do matki. A tu po staremu: makuch, otręby, szczaw. Głupi był, w łagrze nie umiał się urządzić, więc kiedy wrócił, ledwie-ledwie nogami powłóczył. Ogolony przy skórze, z brudną szczotką odrastających włosów, zarośnięty, nie myty, w łapciach z cielęcej skóry i w kalesonach. O Archangielsku, pierwszym swoim łagrze, nie lubił mówić.

— No cóż, wiadomo, ciężka praca, a jedzenia mało.

I rok w domu nie pobył, a tu stuk — przyszło wezwanie do wojska. Tłumaczył, że pozbawiono go praw obywatelskich, czyli że nie może służyć, ale rejkom w jego papierkach nic nie odnotował, więc wzięli i od razu posłali na fiński front, bo wojna akurat wybuchła.

Niedługo tam był. Wszystkiego razem trzy miesiące, ale wystarczyło — wrócił bez jednej nogi. Protezy nie dali, tylko kulę. Ba, żeby dostać papierek na protezę, dobrze trzeba się nachodzić. Rosja wielka i bogata, urzędów w niej dużo.

Iwan nie przejmował się swoim kalectwem.

— Co mi tam — mawiał — ludzie bez głowy żyją, a ja bez nogi nie potrafię? Nie o to się rozchodzi, tylko niesprawiedliwość boli. Nogę zabrali, a krzyżyk na piersi powiesili. Niechby sobie tak Stalin o krzyżyku spróbował pochodzić.

Usłyszał sąsiad i przyskarżył. Iwan dostał dziesięć lat, chociaż był bohaterem wojny za ojczyznę. Taki już los. Jeżeli ktoś nawet wyjdzie z więzienia, musi tam wrócić.

W tym wszystkim miał jednak cholerne szczęście. Do Karagandy przywieziono go w chwili, gdy odchodził stąd ostatni transport do Dolinki. Przybyłby o dzień później — zdychałby w kopalni, a tu raj nie życie.

Sława Dolinki szerzyła się nie tylko w okolicznych karagandyńskich i akmolińskich obozach. Dochodziła do Archangielska, Irkucka, na Sołowki, Bajkał i Kaukaz. Nasz brat, ładowany jak bydło do wagonów towarowych i wedle wszelkich fantazji przewożony z jednego końca Rosji w drugi, sławił imię Dolinki. Był to łagier rolniczy, a przy gospodarstwie, wiadomo, nie umrzesz z głodu. Rygor żaden, bo jak w stepie rygor utrzymać, kiedy pięciu ludzi tu, a trzech o trzydzieści wiorst dalej. Tyle tylko, że ucieczka niemożliwa.

Dolinka z jednej strony graniczyła z kolonią karną Dżyzgyłganu. W Dżyzgyłganie były kopalnie miedzi, wszystkie studnie miały wodę zatrutą. Nikt tu nie wytrzymywał dłużej niż dwa tygodnie. Umierali sobie ludzie jak nic. Co miesiąc przychodził do Dżyzgyłganu nowy transport.

Z pozostałych trzech stron otaczały Dolinkę nieprzeliczone łagry i obozy armii pracy. Zbieg musiałby przejść pieszo koło siedemdziesięciu wiorst, kluczące po gołym jak stół stepie. Ludzi wolnych tylu — ilu strażników. Najbliższa osada, w której można było kupić chleb, i to na kartki, o osiemdziesiąt wiorst stąd. Miał szczęście Iwan, że tu się dostał. Inni, jak Ałbakir na przykład, osiem lat na to czekali. Ale czy głupi potrafi swoje szczęście uszanować? On, zamiast się cieszyć i cicho siedzieć, gęby nie zamykał. Bardzo tym wszystkich drażnił. Zwłaszcza, gdy chodziło o ten Bajkał.

— Bajkał? Co tobie do Bajkału? Zakluczony jesteś, to cicho siedź. Tam pojedziesz, gdzie powiozą.

— Wszystko jedno. Trafię ja jeszcze na Bajkał.

— Nim trafisz, to tam się wszystko zmieni. Jeszcze pożałujesz.

Nie dawał się przekonać.

— Nasza ruska ziemia wielka i bogata. Są jeszcze na niej takie miejsca, gdzie dla wszystkich żywności starczy. Tylko cóż, naród nie jest swobodny. Jakby tak pozwolili, wszyscy by na Bajkał wyjechali. Ale ja chociaż zakluczony — przecie wolny. Rządzić sobą nie dam. Na Bajkał wszystko jedno popadnę.

— Przepadniesz, nim popadniesz.

— Et, co z głupim gadać.

— Oj, dureń, bo dureń.

— Wielki dureń.

I tak został wielkim durniem, dopóki nie przechrzciła go babcia Zubowa. Babcia Zubowa była rdzenną Polką. Pochodziła ze Złoczowa, który za sztachetami swoich ogródków krył najpiękniejsze w świecie georginie, bordowe, tak zwane kaktusowe. Nie ma na całej ziemi misteczka piękniejszego od Złoczowa. Posiada ono brzydki dworzec ze strzyżonymi na jeża gazonowymi klombami, na których sterczą sztuczne bociany, bardzo misternie wykonane ze starych prętów, pakuł i innego śmiecia. Bociany mają żelazne nogi i dzioby pomalowane olejną farbą na czerwono, ślepia z dużych czarnych gałek, a tułów i skrzydła pokryte, jak pierzem, szarym mchem. Oprócz bocianów Złoczów ma jeszcze obskakiwaną przez kozy figurę Świętego Jana i jarmark, na którym są karmelki białe w buraczkowe paski i buraczkowe w białe, perkaliki po 90 groszy za metr, gotowe ubrania, kapusta, obwarzanki, dziegieć, pomidory, kozy, ulicznicy i chałaciarze.

Tak, ale czy widzieliście kiedy, jak z zielonych łąk nad krętą, pełną wirów rzeką unosi się w górę gęsta, niby mleko, mgła? Czy widzieliście o zmierzchu kawki, wirujące nad wieżą bezstylowego kościoła, senne jak płatki sadzy wyplute przez komin fabryczny?

Na dalekim Sybirze babcia Zubowa głosiła chwałę swego miasta: „u nas w Złoczowie". Od tego „u nas" nie było odwołania.

A przecież w Dolince był raj. Kiedy przyjechali, dano im dwa dni odpoczynku i pozostawiono etapowe porcje chleba po 700 gramów, chociaż nie pracowali. Dawano też kawę, niesłodzoną wprawdzie, ale, nie to co w łagrze, można było dostać dolewkę. Potem wybrano siedem osób i posłano w step. A więc pojechali: babcia Zubowa, Iwan, czyli balszoj durak, dwóch traktorzystów: Niemiec i Czeczeniec, Cyganionok, Stiepan, czyli Ruski z kraju Baszkirów, i Ałbakir. Prócz tego strażnik, ale tylko jeden.

W stepie zaraz pierwszego dnia wedle wskazówek Ałbakira zbudowali bałagan, to jest szałas zrobiony z drągów wkopanych w ziemię i u góry związanych powrósłem. Na ten stożek narzucili siana, z boku zamiast drzwi zrobili dziurę — i dach nad głową był gotowy. Był czerwiec, więc nie należało się spodziewać deszczu. Jakoś raz tylko przez pięć minut pokropił, zostawiając ciemne cętki na siwym pyle drogi. Za chwilę ani poznać, że deszcz przeszedł. Sucho i pusto, oka nie ma na czym oprzeć — step. Tylko stożek bałaganu w środku doliny — i to się nazywała Piąta Ferma.

Nie było tu źle. Paszka z centrali, ten, co ich przywiózł, odjechał, nim się traktorzyści obejrzeli, że maszyny, które tu już stały, są zepsute. Nie mieli co robić więc poszli spać, oczywiście ze strażnikiem na czele. Tylko babcia Zubowa dreptała koło sprokurowanej na poczekaniu kuchni. Jasne było, że będzie kucharką. Na tę funkcję jednak czyhał także zazdrosny Ałbakir. Cyganionok mocniej ściągnął druty na szmatach, którymi owijał nigdy nie myte nogi, i poszedł w step. Nie wrócił z pustymi rękami. Przyniósł szczawiu i wieczorem kwaśny barszcz, podprawiony stęchłą mąką, stanowił miłą odmianę po więziennych jaglach, rzadkich i w dodatku gotowanych na śledziu.

Wieczorem przyjechał jakiś naczelnik z Dolinki. Koszulę na wypust podwiązaną miał sznurkiem zamiast krajki, ale czystą i świeżo wyprasowaną. Od razu widać, że wolny. Sklął ich od ostatnich.

— Kto nie pracuje, ten nie je. Wałkoniom ani grama chleba nie dam.

— Towarzyszu naczelniku... — zaczął wysokim głosem Stiepan.

— Wilk tobie w briańskim lesie towarzysz — odpowiedział naczelnik. — Widzisz go, na kurację przyjechał.

Nie pozwolił sobie nawet wytłumaczyć, że dopóki maszyny zepsute, nie mają co robić. Odjechał wściekły, a oni przez dwa dni nie dostali ani chleba, ani jagieł, ani nic. Ugotowali wody ze szczawiem, popili i poszli spać. Dopiero trzeciego dnia pod wieczór przyjechał ten sam gość, który ich tu przywiózł — młody, rosyjski zootechnik z miną filuta — Paszka.

— No cóż — powiedział — naczelnik się rozgniewał i zabronił was karmić. Sabotażyści, mówi, niech zdychają z głodu.

— Co za sabotażyści? Traktor był zepsuty, nim przyjechaliśmy. Nie nasza wina.

— Zakluczony zawsze winien — odpowiedział beztrosko Paszka — gdyby nie był winien, to by nie był zakluczony.

— Łatwo ci tak mówić, jak ci się jeść nie chce. Na głodny żołądek inna prawda — mruknął Niemiec.

— Masz, żryj — powiedział Paszka. — Przywiozłem jutrzejszy pajok.

— A dzisiejszy i wczorajszy?

— Przepadły. Żyjesz? No więc czego chcesz?

Naprawili traktor, bo Paszka przywiózł ze sobą zapasowe części, i zrobili zebranie. Choć Ałbakir trochę bruździł, a Cyganionok podkpiwał, wybrali Stiepana na brygadzistę.

Stiepan głos miał piękny, niezwykle miękki i łagodny. Kiedy zawodził ten refren:

I wsiegda
żdiot mienia
Pawłodarskaja tiurma,

po prostu płakać się chciało, ale i lżej się robiło na sercu.

— A tiepier, Stiepan, spoj druguju pieśniu — mówili i słuchali w milczeniu.

Śpiewak z niego był dobry, ale poza tym to figura niewyraźna. Raz mówił tak, drugi raz inaczej. Nikt nie wiedział, za co siedzi, ani na ile lat skazany. Podejrzewano, że symuluje chorobę. Wprawdzie pluł krwią, ale kto widział gruźlika o byczym karku i niedźwiedzich barach. Nie wierzono też, że to Ruski z kraju Baszkirów. Po prostu Baszkir. Tylko załgał się na śmierć. Sam nawet nie wie, jaka jego nacja.

No więc wybrali brygadzistę i zaczęli rozdzielać robotę. Od razu jednak wynikła kwestia, co zrobić z wielkim Iwanem, przecież on bez nogi. Tak o kulj ma kusztykać w step, siedem wiorst tam i siedem z powrotem?

— Ot i brygada — biadał swoim miękkim głosem Stiepan. — Ten krwią pluje, ten bez nogi, ta opuchnięta. Powiedzcie sami, co robić.

— Bo te cholery — krzyczała babcia Zubowa — umarłego by do tiurmy zamknęły. Na co komu w łagrze taki kulas? Ale trzymają. Usrają się, a nie puszczą.

Ałbakir krzywo popatrzył na Iwana i zaklął po kirgisku, a sprytny Cyganionok nie wytrzymał i wpatrując się czarnymi oczami w inwalidę wojny za ojczyznę, powiedział:

— Właściwie to jego powinni byli zostawić w centrali. Mają ogród warzywny. Akurat dla niego robota.

Wszystkich nagle olśniła ta myśl. Iwan powinien być w centrali. Ale Iwan wprawił ich w jeszcze większe zdumienie.

— Powinni byli zostawić — oświadczył — i chcieli, ale ja nie chciałem.

Zaparło im dech.

— Jakże to?

— A co będziesz tu robił?

— Nie wasza sprawa. Nie kłopoczcie się.

— Ale jeść chcesz — rozsrożył się nagle Ałbakir — więc co? My mamy za ciebie pracować?

— Ostatecznie mogę jeździć na grabiarce — oświadczył Iwan.

Nie w smak było to Ałbakirowi, bo po szkorbucie nogi nie zginały mu się w kolanach i sam miał ochotę na grabiarkę, ale co robić, lepiej niech już ten jeździ, niżby miał cały dzień leżeć do góry brzuchem.

Iwan siadł na grabiarkę zaprzężoną w kudłatego, kirgiskiego konia i ruszyli w step. I tak robota poszła. Niemiec z Czeczeńcem na traktorze. Iwan na grabiarce, reszta zwałowane siano składała w kopy. Przyjechał Paszka z centrali i bardzo był zadowolony. Produkty przychodziły coraz lepsze. Chleba wprawdzie ciągle po 700 gramów, ale prócz tego jagły, dwa razy przywieźli także mleko spod centryfugi, a raz nawet suszone mięso. Babcia Zubowa gotowała smacznie tak, że mimo podłych intryg Ałbakira nikt o nic nie miał pretensji. I tak szły dni jedne za drugimi, pogodne i czyste jak niebo kazachskie. Każdy dzień zbliżał ich do wolności. Wszystkich, tylko nie Ałbakira, bo ten miał dożywocie. Składacze odstali od grabiarki, grabiarka od traktora. Każda grupa chodziła oddzielnie, rzetelna praca już im się znudziła, odpoczywali trochę, tym bardziej, że u Paszki mieli dobrą opinię, a kontrole z centrali były coraz rzadsze.

Aż kiedyś przyjechał Paszka.

— Co, tylko tyle siana?! — wrzasnął.

Stiepan godnie oparł się na widłach.

— Ho, ho, ho — odparł — cztery razy tyle skoszonego w stepie. Tylko tak, tam za mogiłkami, potem w stronę solonczaków, a jeszcze gdzie eee...

— O, na lewo od drogi i za pagórkiem po prawej stronie — podpowiedział usłużnie Cyganionok.

— To co? — zamyślił się głęboko Paszka. — Układacze nie nadążają?

Popatrzyli po sobie. Dla nich było to jasne od pierwszego dnia.

— Dobrze — zadecydował Paszka — wobec tego zabiorę jutro traktor i grabiarkę, a wy tu złożycie resztę siana — trzasnął biczykiem i pojechał. Brygadzistę Stiepana oblał zimny pot. Ani razu nie sprawdził, co kto zrobił. Wieczorem wziął konia i pojechał w

Był to burzliwy wieczór, bo akurat przed chwilą wybuchła kłótnia o mięso. Ałbakir twierdził, że babcia Zubowa obżera się mięsem, rozdziela nierówno porcje, a jemu, Ałbakirowi, daje same kości, i to bez szpiku. Babcia Zubowa znieść tego nie mogła, kiedy ktoś na nią z pyskiem wyjeżdżał. Traktorzysta Niemiec trzymał stronę Zubowej, Czeczeniec — Ałbakira, Wielki Iwan, oparty o drążek bałaganu, skręcał papierosa z uzbieranego w stepie zielska, a Cyganionok tylko patrzył, czy spornych porcji mięsa nie uda się świsnąć ryczałtem. Strażnik stanął po stronie babci i zrobił się taki hałas, że nikt nawet nie zauważył, kiedy Stiepan wrócił. Brygadzista podszedł wprost do Iwana:

— Ty swołocz! — ryknął. — Coś ty robił przez cały czas?

Iwan podniósł obojętne, dziecinne oczy.

— A bo co?

— Co? Pytasz się co? Zabiorą grabiarkę, a my będziemy pokosy widłami w kupkę ściągać, taki synu.

Zrozumieli, do jakiej katastrofy ich doprowadził. Rzeczywiście łotr ten Iwan. I co on tam robił w stepie?

— Tobie dobrze, ty sobie z grabiarką pojedziesz — syczał Cyganionok — a niech no nam zaczną co dzień robotę mierzyć i za niewyrobione z pajków potrącać, to co? Usrasz się, a z nie zgrabionego pół normy nie wyciągniesz.

— Jakże tak można nas wszystkich w nieszczęście wpędzać? — biadała babcia Zubowa. — Rozumu nie masz.

— Leń, swołocz! — wrzeszczał traktorzysta Niemiec, choć go to nie powinno obchodzić, bo i tak miał przejść na inną fermę.

Ałbakir i Stiepan miotali przekleństwa we wszystkich językach, a znali obaj rosyjski, kirgiski, tatarski i baszkirski, zwłaszcza w tym zakresie.

Iwan wszystkiego słuchał spokojnie, wreszcie podciągnął kulę pod pachę i powiedział:

— Nie wrzeszczcie. Nie grabiłem i co mi zrobicie?

— Jeść... jeść — charczał z wściekłością Ałbakir — jeść nie damy.

Babcia Zubowa struchlała. W gołym stepie zabrać człowiekowi pajok. Co będzie żarł — szczaw?

— No to i co — odpowiedział inwalida — pójdę spać.

Cyganionok podskoczył do niego i twarzą w twarz wysyczał:

— Zobaczysz, odeślemy do centrali... Albo lepiej do Karagandy.

Błysk niepokoju mignął w niebieskich oczach Iwana.

— Do łagru... do Karagandy... przecież tam stepu nie ma.

Babcia Zubowa pokiwała głową.

— Oj, bimbajło z ciebie, bimbajło. Powiedzieć, że ludziom szkodzi — nie rozumie, powiedzieć, że jeść nie dostanie — nie rozumie, powiedzieć: stepu nie zobaczysz — dopiero baranek. I cóż ty w tym podłym stepie widzisz?

— Rzeczywiście dureń. Żal słuchać.

— Bimbajło — powtórzył szyderczo Ałbakir — balszoj bimbajło. To znaczy najgorszy dureń — prawda, babuszka?

— Tak, tak — potwierdziła babcia. I tak został Wielkim Bimbajłą.

Tymczasem burza rozeszła się po kościach. Prawdę powiedziawszy, w Kazachstanie nigdy niczego nie da się przewidzieć. Wczoraj dali ci medal i twoimi wizerunkami ozdobili wszystkie gazetki ścienne, a dziś budzą cię w nocy kolbą, lżą od szpiegów i zdrajców i prowadzą do więzienia. Innej nocy skradłeś ze sklepu skrzynkę cukru, a rano przychodzi do ciebie prokurator i życzliwie uśmiechnięty powiada:

— Zakuritie, tawariszcz, sacharu nie prodajetie? — i masz przyjaciela.

Paszka w ogóle przez dwa tygodnie nie pokazywał się na sianokosach. Zapomniał o Piątej Fermie, zmienił plany, czy czort wie co, dość, że w bałaganie wszystko zostało po staremu. Życie wlokło się słoneczne jak lato kirgiskie, gołe i puste jak step. Każdy zajmował się, czym chciał. Czujka stała na straży i pilnowała, czy kto nie jedzie. Przez dwa tygodnie, z wyjątkiem chytrego Nikity przywożącego prowiant, nikogo nie było. Zszywali rozłażące się ubranie, łapali wszy, spali. Raj nie życie.

Wieczorami siadali pod bałaganem i gadali. W miarę, jak dolińskie porcje głuszyły głód, zmieniały się tematy rozmów. Dawniej mówili o tym, co kto jadał w domu. W opowiadaniach tych celowała babcia Zubowa. Tak pięknie umiała mówić o uszkach z barszczem, salcesonach, kiełbasach, kapustach kiszonych, kruchych placuszkach, pączkach, ba, nawet torcie z orzechami. Potem zabierał głos Bimbajło. Wspominał Majkain. Ale babcia z pogardą odnosiła się do tych jego wspomnień.

— Kto słyszał żeby ser ze słoniną jeść? Tfu, paskudztwo!

— No, a jak chleba akurat nie było, a sera chot' zawaliś?

— Cóż, trudno. Ale ty to nazywasz: dobrze. U nas w Złoczowie...

— Oczywiście — upierał się Bimbajło — w Majkainie dobrze było, ale na Bajkale jest jeszcze lepiej, tam nigdy niczego nie brak. Bierz, ile chcesz, byleby pieniędzy starczyło.

— Tak, tak — potwierdzał Ałbakir — za carskich czasów niczego nie brakło, a kiedy władza sowiecka przyszła — kaput.

Ale kiedy przestawali mówić o jedzeniu, a zaczynali o polityce, Cyganiotok trącał babcię w kolano.

— Babuszka, powiedzcie, jak się też robi te pieczone pierożki? — i patrzył tak prosząco, że aż się żal robiło.

Niewielki był, czarny, kędzierzawy, jak cherubin, a łajdak, że nie daj Boże, kłamca, łotr i złodziejaszek, ale bystry i przymilny jak kociak. Ot biedne dziecko, nic nie widziało.

Gadali do późnej nocy. Wreszcie Ruski z kraju Baszkirów wstawał i mówił:

— No, pora spać. A nie zostało tam trochę zupy?

Nie spostrzegli nawet, że pierwszego wieczoru, kiedy zostało trochę zupy, to nie mówili już o jedzeniu. Mówili o tym, kiedy się komu wyrok skończy i kto gdzie pójdzie po wyjściu z obozu. Ten symulant Stiepan ciągle pluł krwią i zawsze zaczynał rozmowy na takie dziwne tematy. To on właśnie pewnego wieczoru wywołał kłótnię o Boga.

Babcia, Ałbakir i Bimbajło twierdzili stanowczo, że Bóg jest, tylko swoich wyobrażeń o nim nie umieli uzgodnić. Wyglądało na to, że Czeczeniec przychyla się do ich poglądu, ale niestety nie umiał się wysłowić. Iwan za to szeroko rozwodził się nad tym, jak to w jego wiosce wtedy, kiedy jeszcze nazywała się Woskresenka, a nie kołchoz Stalinowskie Słońce, znaleziono księgę, która spadła z nieba. W księdze tej złotą cyrylicą stały wypisane przepowiednie, które co do joty się sprawdziły. Jego matka na własne uszy słyszała, jak pop to czytał. Babcia Zubowa wierzyła w księgę, miała jednak pewne wątpliwości co do cyrylicy. Pan Bóg najchętniej posługuje się językiem polskim, w ostateczności łaciną. Ałbakir sam był kiedyś mullą i wiedział, że niewiernym Allach nie zrzuca książek, ale solidaryzując się z obozem wierzących, nie przeczył.

Natomiast Cyganionok i Niemiec — traktorzysta aż pienili się ze złości. Twierdzili, że Boga nie ma, bo nikt go nigdy nie widział, ani nie dotknął. Wszystko to, co o nim mówią, to bajki i zmyślenie.

— No a ta księga? — spytał Iwan. — Złotymi literami stało w niej napisane. Spadła z nieba. Skąd się wzięła?

W obozie materialistów zapanowało zamieszanie. Cyganionok jednak nie dałby się zbić z tropu i dyskusja przeciągnęłaby się do rana, gdyby nie przeciął jej ten, który ją zaczął.

— Ech wy — powiedział z niechęcią Stiepan — i tak, i tak gadacie. A ja wam jedno powiem, nikt tego nigdy nie dokaże, czy jest Bóg, czy go nie ma. Ot co. Chdźmy spać.

Następnego wieczoru Stiepan znowu pierwszy zaczął:

— Ot, tak: żyjesz i żyjesz. Na wolności czy w więzieniu, w istocie wszystko jedno. Wszystko jedno śmierć ciebie nie ominie. Po co właściwie człowiek chodzi po tym świecie?

Nad ogniskiem z dogasającego kiziaku Cyganionok nachylił się w stronę Stiepana.

— Jak to po co? — spytał. — Jaki jest cel w życiu? Trzy są cele — i rozstawiając palce zaczął wyliczać: — Najeść się, ubrać się, zabawić.

— Co też ty, Cyganionok — przerwała babcia Zubowa. — Jak tak można — wszystko samemu? Trzeba mieć żonę, dzieci: dzieci wychować, wykształcić, wtedy dopiero można myśleć o spokojnej starości. U nas w Złoczowie...

— A jak ja nikogo, na ten przykład, nie mam — przerwał jej Stiepan. — Jak, powiedzmy, żonę i dzieci rzuciłem — to co, nie mam już po co żyć?

— No jak to? — upierał się Cyganionok. — A zjeść, a ubrać się, a zabawić się nie potrzebujesz?

— Co tam, zabawić się — machnął ręką Ałbakir. — Żeby człowiek był szczęśliwy, musi mieć wielkie stada. Krowy latem koczują po stepie, przyjeżdżasz na auł, żona powiada: syna ci urodziłam. A wszyscy mówią: Ałbakir wielki gospodarz, krów ma tysiąc, trzy tysiące owiec i baranów, synów dwunastu, córek tylko trzy. Synowie to honor, ale za córki kałym weźmiesz.

— Tfu, pogański czort, dzieci sprzedaje — rozgniewała się babcia. — Jakie życie może być w tym waszym stepie? Dzicz.

Czeczeniec też bardzo przejął się rozmową i koniecznie chciał się do niej wtrącić, ale nie umiał się wysłowić, więc tylko w drapieżnym uśmiechu obnażył długie, białe zęby. Oczy pod kudłatą papachą latały mu to w tę, to w tamtą stronę. W kącie poruszył się Niemiec.

— Dla mnie to jeden cel jest w życiu — zauważył. — Wyjść z obozu. Już na wolności dam sobie radę.

— Ech, głupi ty, głupi — odezwał się milczący dotąd Bimbajło. — Wolność czy łagier, jaka u nas różnica? I tu głód, i tam głód. Trafi się lepiej, jak w Majkainie czy w Dolince, to i cóż — prędko koniec. A ja wam to powiem. Są jeszcze w naszym kraju takie miejsca, gdzie wszystkiego w bród, chot' zawaliś. Tylko znaleźć trzeba. Będziesz siedział w miejscu — nie znajdziesz. Szukać trzeba. Może Bajkał, może kto wie co. Wszystko jedno, trzeba iść i szukać.

— A jakże ty tak na jednej nodze pokuśtykasz? — drwiąco spytał Cyganionok. — I do tego zakluczony?

— Zakluczony, nie zakluczony — każdy człowiek jest swobodny. A ja swój Bajkał znajdę.

— Co, może jutro?

— Pomyślże człowieku, kiedy ty na ten Bajkał trafisz, skoro ci jeszcze dziesięć lat obozu zostało?

— Ot, Bimbajło, szkoda słów, Balszoj Bimbajło. Sam nie wie, co mówi.

Wydrwili go i niezadowoleni z siebie poszli spać. Stiepan długo w noc nie mógł zasnąć. Myślał o tym, że chyba symulował przed komisją. Nie było z nim znowuż tak źle. Ostatnio przytył nawet, tylko czuł się trochę słabszy i częściej kaszlał. Ostatecznie kto wie, po co człowiek żyje i czy życie cośkolwiek warte. I tak umrzesz któregoś dnia.

* * *

I co wy powiecie?

Czwartego dnia po tej pamiętnej rozmowie Bimbajło uciekł. Strażnik narobił alarmu. Wszystkich zabrali do centrali i posadzili na dwa tygodnie do karceru. Stiepana nawet bili. Co z niego za brygadzista, że nie upilnował.

W centrali nie było już tak dobrze jak na Piątej Fermie. Jeść wprawdzie było co, nie tak jak w Karagandzie, ale codziennie razwod, prowierka rano i wieczorem, kolejki po obiad, kłótnie, swary, kradzieże. Normalnie jak w obozie.

Pod wiosnę ten symulant Stiepan umarł. Do samego końca był wielki i potężny. Ostatnio już wcale nie śpiewał i nie martwił się tym, po co żyje, tylko bardzo chciał żyć. Babcia Zubowa wróciła do Polski, ale tam nie było już Złoczowa. Reszta siedzi chyba do dziś dnia. Może Cyganionok jakoś się wykręcił. O, ten to był sprytny.

Co do Bimbajły, nigdy nie słyszało się, żeby go złapali, a przecież o każdym pojmanym zbiegu wiedział cały łagier. Ogłaszano, kogo zastrzelili. Niech wiedzą zakluczeni, czym pachnie ucieczka.

Może zmarł z głodu i wycieńczenia, zapadł się w jakąś bruzdę wyżłobioną przez karagandyński eskawator i został tam, sztywny i dumny z odnalezionej wolności. Bo chyba nie sposób przypuścić, by ocalał. Co najmniej siedemdziesiąt wiorst musiałby przejść pieszo, kluczyć po gołym, jak stół, stepie. Kulas przecie, bez jednej nogi.

(1952 r.)

Dziadek w gumnie

Dokończenie ze str. 1

Wyjątkowo malowniczo pod tym względem przedstawia się sam środek miasta, to nasze urbanistyczne Greenwich, czyli placyk po wyburzonym zabytku przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia z ul. Kołłątaja. Stoi tam kilka budek (kiosków), które jako żywo przypominają odpustowe stragany z Kozich Górek, oferując m.in. takie specjały, jak lody i wody. Żałuję tylko, że nie można tam kupić obwarzanków czy gipsowych zajęcy i „kościuszków". W naszej rozpędzonej cywilizacji (szybkość samochodów na trasie W—Z dochodzi do 70 km na godzinę) zające mogłyby przecież stanowić coś w rodzaju rustykalnego largactilu lub placebo na stresy.

Sceneria ul. Lubartowskiej

W temacie: „zatłudkowanie" Lublin zajmuje chyba pierwsze miejsce w kraju i wieniec żelazny referentom, że od lat skutecznie bronią kiosku przy kościele oo. kapucynów, który drażni architektów. Wiadomo, jak ktoś otrzyma dyplom wyższej uczelni, to zaraz wysferza się, zaciera ślady po swoim na ogół chłopskim czy małomiasteczkowym rodowodzie. Pisał już zresztą o tym Julian Karwalec i pół tuzina innych literatów ludowych.

Atmosfera masowego festynu panuje także w budynku na oko bardzo pojemnym, czyli w domu towarowym „Centrum" przy ul. Osterwy, który oblegany jest przez ludność od wczesnych godzin rannych, a następnie zgrabnie — w tłoku raźniej! — oczyszczany z co bardziej atrakcyjnych towarów. Kiedyś rządziła tam obyczajowa francja-elegancja, dyrekcja chwaliła się że za projekt tej budowli Tadeusz Witkowski otrzymał nagrodę odpowiedniego ministra (1964), ale przecież to małe piwo wobec totalnej demokracji, która manifestuje się obecnie za wielkimi witrynami ze specjalnego szkła, sprowadzonego niegdyś z Dolnego Śląska za sprawą samego architekta.

Zręcznie wkomponowany w zabudowę ulicy, dom Witkowskiego nie przypomina niestety fortecznej stodoły, z jaką mają przyjemność obcować np. klienci słynnego „Orfeusza" WPHW na Czechowie, zwanego zresztą przez obywatelstwo wiejskie „Faryzeuszem".

Więź międzyludzką zacieśniają też śródmiejskie kawiarnie, restauracje i starodawny Klub MPiK przy Krakowskim Przedmieściu. Kiedyś było tam przestronnie, a na pewno inaczej. W „Regionalnej", działającej wcześniej pod firmą „Semadeni", koncertował zespół kameralny, na ścianach lokalu prezentowali swoje obrazy lubelscy malarze, zaś „na kołkach" zawsze były świeże gazety i czasopisma. Owszem, owszem, ale i dzisiaj kawiarnia ta posiada sporo atrakcji, jakby żywcem wyjętych z zachodnich filmów kryminalnych. Jeśli nawet obrabowanie człowieka na oczach personelu i kawiarnianej publiczności wypada uznać za czyn naganny, to któż zaprzeczy, że incydent ów, odnotowany kilka miesięcy temu w raportach milicyjnych, stanowił zarazem dowód na krzepę i dezynwolturę naszej młodzieży?! Na nudę nie mogą też narzekać bywalcy „Ratuszowej". Swego czasu przytytek ten słynął ze świetnej herbaty, jego sens ludzki określały regularne wizyty takich ludzi, jak np. Władysław Filipiak, malarz wszak pierwszorzędny, albo Ludwik Zambelli, organizator i właściciel pierwszej w Lublinie szkoły kierowców automobilowych. Oni właśnie i im podobni spotykali się często na pięterku herbaciarni, no i gawędzili, dyskutowali godzinami, nie bacząc, że czas ucieka, a życie przyspiesza dynamicznie.

Albo taki Klub MPiK: był domem, szkołą dobrych obyczajów, czytelnią prasy europejskiej i amerykańskiej dla najmniej dwóch generacji młodej inteligencji lubelskiej, życzliwie podejmowanej przez panią Janzynową i pana Kulickiego. Wszystko to prawda, naturalnie, ale przecież w tamtych czasach klub nie miał tego, co posiada obecnie: tradycji, a ponadto standardu świetlicy dworcowej.

Kultura „twarzą w twarz" kwitnie ponadto w śródmiejskich księgarniach, ulokowanych bez wyjątku w starych kamienicach i tak zmyślnie urządzonych, że popychany serdecznie przez współtowarzyszy zakupów, klient nie zmęczy się zbytnio w drodze do lady, gdzie czeka nań miła niespodzianka w postaci wydawnictw mocno przecenionych.

W minionych 30 latach liczba mieszkańców Lublina zwiększyła się trzykrotnie, o kilka długości wyprzedzając przyrost powierzchni handlowo-usługowej. No i dzięki temu mamy okazję częściej spotykać się u rzeźnika, szewca, fryzjera, w sklepie spożywczym, w kawiarni i księgarni. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, choć mówi się także, że wyszło szydło z worka.

Twierdzi się również, że niemal całe śródmieście Lublina uległo degradacji: funkcjonalnej, estetycznej, prestiżowej, że pod niejednym względem zostało zdystansowane przez nowe dzielnice, w większość przyzwoite architektonicznie, nieźle wyposażone w usługi i w ogóle oferujące lepsze warunki życia.

Fakt, nie chciałbym mieszkać w okolicach Bramy Krakowskiej, gdzie na kilometr kwadratowy terenu spadają rocznie z nieba 203 tony różnego trującego świństwa, które zżera nawet gotycką cegłę owego zabytku (jeszcze długo po II wojnie chronionego warstwą tynku). Nie chciałbym, choć na pewno znalazłbym niejakie ukojenie, rzucając załzawionym oczkiem na pobliskie betonowe słupy trakcji trolejbusowej, które swoją surową potęgą wręcz konkurują z architekturą Bramy, a bodaj że z poczuciem umiaru i wrażliwością kulturową troglodyty.

Nie chciałbym też mieszkać przy takich ulicach, jak Lubartowska, Krakowskie Przedmieście czy Narutowicza, gdzie tylko osoby w stanie upojenia alkoholowego znajdują odwagę na otwarcie okien, by wykrzyczeć swoje nieszczęścia urbi et orbi.

Jak widać, przed granicami śródmieścia schodzę na psy (etyczne) i wyrzekam się jakby tych wielce oryginalnych kryteriów oceny Lublina, które reprezentuję w niniejszym tekście, przyprawiając zapewne czytelników o palpitacje serca. „Zdarza się" — powiedziałby przecież Kurt Vonnegut, autor cenionej przez naszych studentów książeczki pt. „Rzeźnia numer pięć, czyli Krucjata dziecięca, czyli Obowiązkowy taniec ze śmiercią", w której nagminnie cytuje ów zwrot Trafamadorczyków.

Zejście na pieski poziom jest jednak w Lublinie bardzo ryzykowne, bo grozi umieszczeniem zwierzęcia w schronisku na Węglinie. Sfory bezpańskich psów i bezdomne koty wiedzą, co robią, omijając ów karcer.

Nasze urbanistyczne Greenwich

Z drugiej strony to ja przecież zazdroszczę osobom, które bytują w śródmieściu, szczególnie zaś przy Krakowskim Przedmieściu. Kiedy bowiem zbliża się jakieś ważne święto lub akcja „posesja", służby miejskie żwawo biorą się za malowanie parterów kamieniczek, zwykle w optymistycznych kolorach: cytryna, lilaróż, szare mydło. W tym estetycznym szaleństwie, którego nigdy za dużo, jest przecież metoda: z okien samochodów widać głównie partery. Owszem, kilka lat temu wymalowano na okoliczność całą frontową elewację hotelu „Lublinianka", łącznie z okazałym portykiem kryjącym wejście do kawiarni (na klarnecie rzewnie zawodził Münch), w miejsce palety wesołej wprowadzając jednak brązy, szare błękity i biele, co zamieniło gmach byłej Kasy Przemysłowców w efektowny symbol populistycznej wrażliwości estetycznej. Specjalnością lubelską zdaje się być przy tym kolorystyczne wyróżnianie detali architektonicznych, klasycystycznych, eklektycznych czy secesyjnych, które po takich zabiegach niejako ulatują ze ścian, słusznie wypierając się związków z burżuazyjną przeszłością.

Jeśli chodzi o secesję, to warto wiedzieć, że jeszcze w początkach lat sześćdziesiątych, kiedy na pięterku „Lublinianki" przygrywał do tańca właśnie pan Tadeusz Münch, nawet historycy sztuki piwali na ten styl zmysłowo pokrętny — by w odpowiednim czasie paść przed nim na kolana. Dla jednego z takich entuzjastów, który zorganizował muzeum secesji w Płocku, manewr ten okazał się nawet wielce korzystny, jako że wyniósł go na stanowisko dyrektora warszawskiego sanktuarium narodowego, w pobliżu mostu Poniatowskiego.

Ponieważ jednak mody i wzory kulturowe zmieniają się szybko tylko w łonie tzw. elit (co to dzisiaj znaczy?), zatem trudno załamywać ręce, że dobrodusznі lokatorzy i okazyjni wizytatorzy okazałej kamienicy secesyjnej przy ul. Rusałka dopiero niedawno dokumentnie wycięli z obramowania wielki i skrzący się kolorami witraż w podwójnej klatce schodowej.

Trochę takiego szkła pozostało jeszcze w mieszczańskich domach śródmieścia oraz, co interesujące, w wojewódzkiej przychodni stomatologicznej przy ul. Lubartowskiej, gdzie pewien znany lekarz spowodował był, już po II wojnie, umieszczenie witrażu z motywem chłopca myjącego zęby. Powstałe w intencjach perswazyjnych, to spore dzieło wykonała krakowska pracownia R. Ryniewicza, w roku 1949, na samym progu realizmu socjalistycznego.

Informuję o tym bezstronnie, choć miałbym powody do złości, jako że w tejże przychodni próbowano przemienić moje zęby w sieczkę.

Tu i ówdzie w Lublinie spotyka się ponadto tralki w klatkach schodowych starych kamienic: secesyjnych, eklektycznych etc. Ładnie profilowane słupki nikną jednak z roku na rok, co nawet dziwne, bo nowa tralka z cementu kosztuje raptem 40 tys. zł, a przecież wiadomo, że taki np. malarz pokojowy potrafi rocznie wyciągnąć i trzy miliony.

Znikają też dachówki. Takie rdzawe pokrycia zdjęto na przykład — dwa lata temu? — z budynków weterynarii Akademii Rolniczej w al. PKWN, zastępując ceramikę surową blachą. Skutek estetyczny operacji na jednym z nich okazał się rewelacyjny, bodaj że mocniejszy od tego, z jakim mamy do czynienia na Krakowskim Przedmieściu z lubelska malowanym. Kiedyś, w okresie realizmu socjalistycznego, zaprojektowano ten obiekt z namysłem, z wyraźną troską o zharmonizowanie wszystkich jego elementów: ścian, dachu, szczytów wyniosłych, otworów, faktury materiałów i barwy, detali, no i w rezultacie otrzymaliśmy rzecz wyjątkowo zgrabną, chyba jedną z najlepszych, jakie w wiadomej konwencji wzniesiono na całej wielkiej Lubelszczyźnie. Nowy dach z blachy natychmiast podjął ostrą polemikę z częścią murowaną i ustanowił nowy porządek w okolicy — metaliczny, twardy, płoszący końskie nieboraki, operowane na wielkim kamiennym stole wewnątrz budynku.

Tymczasem konie poszły w cenie, a życie dowiodło, że tzw. kuc felińskiego z arabem, spisuje się nad poski, lubelska krzyżówka konika poldziw dobrze.

Zatem surową blachę na dachu wspomnianego budynku pokryto niedawno rdzawą farbą. Krótkowidzom wydaje się, że znów jest tam dachówka.

W Lublinie chętnie blaszkuje się budowle, może z braku eternitu, który skompromitował się pokrewieństwem z azbestem.

Rosną tam nowe domy...

Stare dachówki, bez reszty przywiązane do historycznej architektury, zrzucono z kościołów śródmieścia: oo. kapucynów, bernardynów, św. Mikołaja.

Podobny los spotkał ceramiczne pokrycie domów mieszkalno-usługowych, przyjemnie dla oka baraszkujących na łuku placu Zebrań Ludowych. Wzniesione na 10-lecie Polski Ludowej, stanowiły udaną interpretację stylów przeszłości. A teraz, po zablaszkowaniu, które już rdzewieje, wyglądają jak nagi dekarz przy okienku ze znaczkami na poczcie głównej, która zresztą także jest świadectwem wrażliwego podrasowania „na renesans", zrealizowanego w międzywojniu przez Bohdana Kelles-Krauzego, męża cenionego niegdyś sopranu i ojca Beaty Artemskiej.

Osoły duchowne i świeckie — chyba większość lublinian jest za modernizacją à la blacha i ja ich dobrze rozumiem, ponieważ także pochodzę z małego miasta, a jeden z rodowych korzeni zapuściłem w piachu Kossowizny, na terenie Mistowa koło Mińska Mazowieckiego. Zresztą, mimo upływu lat, korzeń ma się dobrze.

Troszeczkę mi jednak markotno, kiedy widzę blachę na zabytkowych kamienicach Starego Miasta, a nowe dachówki — na domach wznoszonych w zachodniej i północnej Polsce. Ciekaw jestem, co o tym sądzą nasi konserwatorzy, inżynierowie, renowanci i sponsorzy, popychający Stare Miasto ku lepszej przyszłości, z pominięciem oczywiście fresków w piwnicy kamienicy Lubomelskich, których swawolne kompozycje uzupełniają ponoć osoby o jurnym temperamencie. A propos: W korytarzu Urzędu Wojewódzkiego znajduje się piękna, marmurowa rzeźba półnagiej damy, na której krągłym pośladku ktoś wyrył jedno słowo: „dupa". Wbrew pozorom nie obcujemy tutaj wyłącznie z manifestacją ludowego poczucia humoru. „Dupa" na pupie to przecież tautologia na miarę intelektualno-artystycznych kreacji Zbigniewa Dłubaka, jednego z naszych wybitnych fotomediallistów konceptualnych. Niestety, materialne uwarunkowania owego faktu nie zezwalają mi na stwierdzenie, że sztuka wysoka zbłądziła oto pod strzechy. Gmach UW, międzywojenne dzieło Ignacego Kędzierskiego, pokryty jest bowiem... dachówką!

O obliczu śródmieścia nie stanowią przecież wyłącznie obiekty zabytkowe czy choćby przedwojenne. Rosną tam nowe domy, a jeden z nich, oddany do użytku w roku bieżącym, strzelił w górę na jedenaście kondygnacji, zyskując przez to dominującą pozycję wśród stosunkowo niskiej zabudowy otoczenia, przy zbiegu ulic: Okopowej i Narutowicza. W sylwecie raczej standardowy, z kupą tzw. zwyżki (winda) na dachu — w perspektywie prostopadłej doń ul. Hempla przedstawia się przyślepionym masywem ściany bocznej, jak elewator zbożowy, otwierając się przecież radośnie, poziomami licznych balkonów, ku woniejącej spalinami arterii nieszczęsnego prezydenta. Wystawiony według projektu Józefa Kołodziejczyka jako dom mieszkalny, bezwzględnie gwarantuje lokatorom sporo ciekawych doznań psycho-fizjologicznych, choćby węchowych i akustycznych, nie mówiąc o tym, że wprowadza do śródmieścia kolejne rodziny.

Ale o czym tu mówimy, skoro w Lublinie mamy jeszcze takie cuda architektury (i urbanistyki) współczesnej, jak wieżowce-biurowce przy ulicach: Karłowicza i Wieniawskiej („Miastoprojekt"). Nie wiem, co inni sądzą, ale ja spoglądam na te obiekty z uczuciem należnym rzeczom niewymyślnym, chędogim, troszku eternitowym i pewnym swych egalitarnych racji.

Cóż, mnie nawet wzrusza (do łez) nowy, zaprojektowany przez Jacka Gurbiela i Marka Bieleckiego dom księży emerytów przy ul. Dąbrowskiego, który — co widać od strony Rusałki — prawem kaduka wgryzł się w koronkową panoramę Starego Miasta i zasłonił swoją masą oraz wysokością, historyczny zespół szkół ekonomicznych imienia zasłużonej dla miasta rodziny Vetterów.

Natomiast z ewangelicznym spokojem przyjmuję, jako regionalną normę lubelską, fakt zburzenia przesyconej tradycją, ba! — ale przecie mikrej elewacji frontowej KUL-u, którą zastąpiono wielką przeszkloną bryłą na szczupłych, nerwowych filarkach. Miejscami zdaje się ona wyrażać tęsknotę architekta, Stanisława Juchnowicza z Krakowa za ciepłymi krajami w stylu mauretańskim.

Duch ekumenizmu unosi się nad Racławickimi alejami, niedaleko punktu, gdzie w pierwszych latach pięćdziesiątych zamierzano zbudować łuk triumfalny.

Jeśli już o duchach mowa, to interesujące byłoby rozpoznać proweniencję tego, który zamiast poprowadzić ul. Obrońców Pokoju prostopadle do Lipowej — co nakazywały plany urbanistyczne i zdrowy rozsądek — zwichrował ją tak przebiegle, że w przyszłości czeka nas sporo roboty przy wyprostowaniu sprawy, łącznie z wycięciem szeregów młodych drzew, posadzonych pospiesznie na okoliczność. Przewiduje się bowiem, że na tym terenie, naprzeciwko budynku Komitetu Miejskiego PZPR, stanie, od strony ul. Lipowej, gmach Urzędu Miejskiego, a po sąsiedzku — hotel. Zwichrowany trakcik: Komitet — Lipowa, dzieło owego ducha, musi zatem ulec anihilacji, oczywiście na koszt miasta.

Spacerując po śródmieściu, nie należy jednak patrzeć wyłącznie w górę, albowiem samo przyziemie też dostarcza mocnych wrażeń, ćwiczy obywatelski refleks, skoczność, poczucie równowagi — na rozkołysanych lub połamanych trotuarach. Dzięki temu jest u nas ciekawiej, niż np. w Świdniku, gdzie cały plac centralny wyłożono płytami piaskowca. Zaskakujące przecież, że to miasteczko, liczące raptem 42 tys. mieszkańców (tyle co LSM albo Czechów), bez entuzjazmu spoziera w perspektywę przyłączenia go do Lublina, w którym żyje obecnie 350 tys. ludzi! Przebąkują tam, że owa fuzja będzie początkiem cywilizacyjnej pauperyzacji Świdnika, który proporcjonalnie do liczby obywateli posiada dziś więcej powierzchni handlowej, usługowej czy żłobkowej, niż stolica województwa.

Fachowcy (pewnie zgorzkniali) ośmielają się twierdzić, że w kilkunastu minionych latach w śródmieściu Lublina nie wzniesiono żadnego wartościowego podzespołu urbanistycznego czy gmachu użyteczności publicznej, że funkcjonalność, zdrowotność i estetyka owego obszaru zostały zdegradowane, a dotychczasowe działania w tej materii są chaotyczne, doraźne, bojaźliwe, pozbawione racjonalnego wsparcia w studiach koncepcyjnych konkretnych rejonów i stanowią jedynie wyzywający przykład „modernizacji niedorozwoju". Za taki stan rzeczy obwinia się, w różnym oczywiście stopniu, albo władze, albo planistów, albo architektów i urbanistów, albo konserwatorów zabytków — w zależności od tego, która grupa społeczno-zawodowa wyrokuje właśnie o sprawie.

Ale ja tych krytyków nie pojmuję, bo kiedy wchodzę do śródmieścia Lublina, to czuję się tam tak dobrze, jak mój małorolny dziadek w gumnie.

Ireneusz J. Kamiński

PS. Śródmieście nie posiada dotąd planu szczegółowego zagospodarowania przestrzennego.

Fotografował: Cezary Krupa

Secesja w architekturze Lublina (2)

Alicja Kurzątkowska

WRAZ z charakterystyką dalszej części ulicy 3 Maja przechodzimy do drugiego rejonu występowania secesji w Lublinie, secesji ulic sąsiadujących z centrum miasta, mających zabudowę niemal wyłącznie mieszkaniową. Przy ul. 3 Maja są to kolejne domy od nr 16 do 22. Tak jak i inne domy przy tej ulicy, odznaczają się nie tylko ciekawymi rozwiązaniami fasad, ale też wyjątkowo starannie i elegancko traktowanymi wszystkimi detalami, występującymi w bramach przejazdowych i klatkach schodowych. Wnętrza ich dekorują sztukaterie, malowidła, glazury, szkła kryształowe, lustra, rzeźbione drzwi i supraporty, kamienne posadzki. Jeszcze do dziś przechowały się, dawniej dużo liczniejsze, witraże lub barwione czy trawione szyby w drzwiach i oknach reprezentacyjnych sieni.

Drzwi w kamienicy przy ul. 3 Maja 18. Stan z 1964 r.
Fot. Jerzy Szandomirski

Szyby zachowały się do dziś.
Fot. Przemysław Ostrzeżek

Znaczna liczba budowli o charakterze mniej lub bardziej secesyjnym znajduje się przy innych przecznicach Krakowskiego Przedmieścia — przy ul. Krótkiej i Wieniawskiej. Są to kamienice: Krótka 1 i 2 (narożne z Krakowskim Przedmieściem 51 i 53 i posiadające ten sam wystrój) oraz kamienice: Wieniawska 2, 4, a także 12. Najciekawszą z nich jest ostatnia, dość odosobniona w swej nieco pałacowej formie. Rozczłonkowana pilastrami, ma centralnie umieszczoną bramę przejazdową i dwie klatki schodowe po bokach oraz dwa belwederki usytuowane na osiach skrajnych. Dekoracja kamienicy, jej balkonów i attyki z kratą balustradową, jest secesyjna z przewagą elementów geometrycznych.

W bliskim sąsiedztwie Krakowskiego Przedmieścia, już nie w zgrupowaniu, ale pojedynczo, występuje jeszcze kilka innych secesyjnych zabytków, których nie można pominąć, a w tym kamienice przy ul. Pstrowskiego 8, Sławińskiego 10 i Ogrodowej 5.

Kamienica przy ul. Pstrowskiego jest czterokodygnacyjna i zabudowana wokół czworobocznego dziedzińca, w którego wnętrzu dominują cztery ryzality, mieszczące klatki schodowe. Umiejętne zsynchronizowanie rzutu budowli oraz układu poszczególnych pomieszczeń pozwoliło na interesujące rozwiązanie sześcioosiowej fasady. Jej secesyjna dekoracja, zróżnicowana na poszczególnych kondygnacjach, operująca przeważnie ornamentami roślinnymi, skoncentrowana jest wokół otworów okiennych, na balustradach balkonów oraz na kracie bramnej. W zdobieniu tej ostatniej znajdują się tak charakterystyczne motywy, jak wici roślinne, „różowate" kwiaty i „poruszone" łodygi oraz „mieczowate" liście. W kratach balkonowych wyróżnia się ornament w postaci cieniowanych wstęg, przypominających rozchodzące się kręgi wodne.

Elementem funkcji, która miała wpływ na kompozycję fasady i rytm otworów okiennych kamienicy przy ul. Sławińskiego, było symetryczne umieszczenie po obu stronach bramy dwu analogicznych sklepów. Dziś nie mają one już przeznaczenia handlowego, ale zachował się ich pierwotny wystrój architektoniczny, obejmujący stare drzwi, okna wystawowe, stolarkę i kraty. Bardzo zdyscyplinowana dekoracja fasady, posługująca się motywami geometrycznymi, bliska jest w tendencjach secesji wiedeńskiej.

Trzecim zabytkiem pojedynczym, zasługującym na szerszą wzmiankę, jest kamienica przy ul. Ogrodowej 5, utrzymana w innej konwencji. Reprezentuje ona bardzo ciekawą architekturę, prostą, niemal surową, ale nie pozbawioną elegancji. Uzyskano to przez zastosowanie pilastrów w wielkim porządku oraz dzięki połączeniu tynkowanych murów z partiami ścian, pozostawionymi w jasnej, klinkierowej cegle. Maniera ta stawia obiekt w kręgu wpływów secesji niemieckiej. Tym kryterium odpowiada też dekoracja fasady, z przewagą elementów geometrycznych.

(cdn.)

Prasa po podwyżce

Piotr Beck

CZYTAŁEM kiedyś w „Daily Telegraph", jak to stały czytelnik pisma skarżył się w liście do redakcji, że podczas urlopu w zapadłej holenderskiej wioszczynie musiał jeździć do odległego o dwadzieścia kilometrów miasteczka, by dokonać zakupu swojego ulubionego dziennika. Tak to ludzie bywają przywiązani do tytułu. Ale owo przywiązanie nie tylko z politycznej identyfikacji czerpie swoje źródło. Prasa na Zachodzie jest po prostu droga i przeciętny czytelnik może sobie pozwolić na regularne kupno tylko jednego tytułu.

A u nas? Czy i nam grozi „Jednotytułowość"?

Biorąc za punkt odniesienia czekających obecnie długim szeregiem na klienta taksówkarzy bądź leżącego spokojnie na księgarskiej półce Sienkiewicza, obawiam się, że tak. Codzienne, tygodniowe, dwutygodniowe i jakie tam jeszcze publikatory, jak wiadomo, mocno ostatnio podrożały (niektóre nawet o 100 proc.), tworząc nagle wrażenie obfitości w kioskach „Ruchu".

Już Krzysztof Teodor Toeplitz, rozważając sprawę wzrostu cen prasy, sugerował, że odtąd Polacy przywiązywać się będą zakupowo do jednego tytułu. Pisma, które nie pozyskały sobie stałego czytelnika, sprzedawać się będą od przypadku do przypadku lub... wcale. Sporo w tym racji. Chcąc bowiem być dziś w zgodzie z intelektualnym sumieniem, należałoby przeznaczać około siedmiuset złotych tygodniowo wyłącznie na prasę. A przecież nie tylko ona poszła „w górę" i nie ona jest owym niezbędnym dla życia wiktuałem.

Badając reakcję czytelniczą na wspomniany skok cen prasy, dojść można do wniosków tyleż pogmatwanych, co statystycznie nieprecyzyjnych. A może w ogóle na wnioski jeszcze trochę za wcześnie? Jedno jest tylko pewne. Zaledwie trzy tytuły „nie drgnęły" pod względem ilości zwrotów, podnosząc zarazem swoją złotówkową wartość (operuję tu danymi z naszego regionu): „Polityka", „itd" i „Panorama". Być może również „Tygodnik Powszechny".

Nawet tacy dyktatorzy krajowej prasy, jak „Przegląd Tygodniowy", zaczynają mieć kłopoty. „Przegląd" jeszcze się sprzedaje, ale kilka dni na kioskowych półkach odleżeć potrafi (przedpodwyżkowe zwroty rzędu 0,2 proc. wzrosły po podwyżce do średnio 3 proc. Skok to niemały). Redakcja zareagowała natychmiast, rozsyłając między czytelników ankiety, by wysondować, co ich boli. Tymczasem, jak mi się zdaje, boli ich po prostu złotówka.

Pogłębił się kryzys sławnych niegdyś tytułów, które co prawda już od dłuższego czasu miewały trudności ze zbytem (czy aby nie ze względu na nieodmienność wypracowanej przed wielu laty formuły?). Tutaj podwyżka tendencje te umocniła. Nobliwy, okryty chwałą międzynarodowego, „polonijnego" magazynu, „Przekrój" z 2 proc. zwrotów przed podwyżką doszedł teraz do 10,6 proc. przy niezmienionym nadziale 19 tysięcy egzemplarzy na region (cztery „lubelskie" województwa). O mizerii polskiej motoryzacji świadczy między innymi upadek tak rozchwytywanego niegdyś „Motoru" — z 0,2 proc. zwrotów do 7,3. Smutna rzeczywistość jawi się też przed „Perspektywami", które, utrzymując się niegdyś „zwrotowo" na poziomie 2,8 proc., obecnie dotarły do 15,6. Ba, nawet prześwietna „Przyjaciółka" (82 tysiące nadziału!) z 0,03 proc. zwrotów spadła (podskoczyła?) na 0,5 proc. Już i program telewizyjny, nawet bardzo „na zaś", nie jest na trudności żadnym panaceum („Antena" z 0,3 proc. na 2 proc.), ani fotosy aktorek („Film" z 0,2 proc. na 2,4 proc. zwrotów), ani oddech wielkoświatowy („Forum" z 1,87 na 3,9 proc.), ani nawet masowa fascynacja („Sportowiec" z 5,3 na 22,7).

A tak gromko zachwalany, bliski sercu, regionalizm? „Tygodnik Chełmski" (średnio z 3 do 6,7 proc.), „Słowo Podlasia" z 5 do 10 proc. — i uwaga! — „Tygodnik Zamojski" z 0,3 na 2 procent.

Nie lepiej mają się także pisma kulturalno-literackie (w istocie właśnie one mają się najgorzej): „Kultura" z 29 proc. zwrotów przed podwyżką — na 40 proc., podobnie „Życie Literackie" i „Kamena", wciąż funkcjonująca w świadomości czytelniczej jako pismo literackie.

Czy należy zatem zagrać ostrzegawcze larum? (Tym bardziej, że z podażą prasy coraz gorzej — wiele kiosków zamknięto!). Dwie występują tu szkoły. Sprzedawcy w czynnych kioskach „Ruchu" narzekają, że gazet jest obecnie w nadmiarze, wo-

Jak Kowalski z Iwanowem?

Dokończenie ze str. 1

— Zdecydowanie tak. Zawsze o tym mówię i zawsze o tym piszę. Przyjaźń nie jest pojęciem hasłowym. Składa się ona z konkretnych przyjaźni konkretnych Iwanowów i Kowalskich. Manifestacje i wiece potrzebne są oczywiście dla jakiegoś wymiaru propagandowego, ale same przez się niczego nie załatwią. Prawdziwej, niefasadowej przyjaźni potrzebne są natomiast konkretne spotkania, indywidualne więzi, szeroka wymiana ludzka.

— Zauważa się to, rozmawiając na przykład z ludźmi, którzy wspólnie walczyli na froncie.

— Właśnie. Powiem panu jeszcze więcej. Nieraz spotykałem się z kombatantami, uczestnikami walk, którzy byli deportowani na Syberii przed wstąpieniem do Wojska Polskiego w ZSRR. Pamiętam choćby takie spotkania ze starszą kobietą, żołnierką Wojska Polskiego, która powiedziała: „No tak, owszem, byliśmy na Syberii, ale zawsze mam do tych ludzi, Rosjan, którzy żyli obok mnie, najgłębsze uczucia sympatii. To są moi ludzie, moi przyjaciele". Często młode pokolenia, które nie przeżyły tamtych czasów, wykorzystują sprawę deportowanych do stwarzania nowych zadrażnień. Tymczasem kwestia nie jest taka jednoznaczna...

— A więc samo mechaniczne przekreślanie „białych plam" nie załatwi problemu.

— Istnieją jeszcze białe „białe plamy". Wspaniałe rzeczy, jak przykłady ratowania życia jeńcom radzieckim, tu w Polsce. Są tysiące takich przypadków. A pomoc wywiadowi radzieckiemu ze strony Polaków. Jednak u nas przedstawia się te sprawy źle. Prasa radziecka od dawna dużo pisze o pułku Normandia-Niemen, ale przecież u naszego boku walczyło także wielu lotników polskich. To są piękne karty. To są owe białe „białe plamy", o których trzeba opowiadać. Ileż tu materiału na ugruntowanie wzajemnej przyjaźni!

— Zmieńmy może teraz nieco temat i porozmawiajmy o radzieckiej przebudowie. Do pewnego czasu można było odnieść wrażenie, że „pieriestrojka" jest procesem gładkim, powszechnie akceptowanym. Ostatnio jednak na przykład „Prawda" zaatakowała ostro konserwatystów i dogmatyków, wyrażających wciąż pragnienia odwrotu od linii reprezentowanej przez Michaiła Gorbaczowa. Co dla narodu radzieckiego naprawdę oznacza „pieriestrojka"? Co mogłoby oznaczać porzucenie tej koncepcji?

— Według mnie, „pieriestrojka" to po prostu powrót do zdrowego rozsądku. Musi więc ona przynieść ostateczny koniec tym resztkom stalinizmu, które niestety wciąż jeszcze funkcjonują w naszym życiu społecznym, zwłaszcza elementy systemu nakazowo-rozdzielczego. Obecnie żyjemy w innych czasach, w innej epoce. Wymaga to nowych działań, a przede wszystkim nowego myślenia. Kto więc może być przeciwnikiem tej koncepcji? Oczywiście człowiek niekompetentny, czujący, że nie nadaje się na stanowisko, które piastuje, że rola, jaką odgrywa, wyraźnie go przerasta. Taki człowiek będzie najgłośniej krzyczał za przebudową, ale w istocie rzeczy najgoręcej będzie ją zwalczał. Ostatnio w Związku Radzieckim ukazał się, jak wiadomo, artykuł Niny Andrejewej, będący jakby manifestem tych ludzi. Dowiadujemy się, że już gdzieniegdzie wydano polecenia, by artykuł ten wykorzystywać w szkoleniu politycznym, podawać go za wzór. A więc okazuje się, że wielu decydentów oczekiwało takiego tekstu i w pełni się z treściami w nim zawartymi identyfikowało. Na szczęście „Prawda" zdemaskowała te „ciągoty".

Z drugiej strony, „pieriestrojka" tkwi mocno w duszy wielu ludzi. Prawdziwym bowiem nieszczęściem byłoby traktowanie przebudowy hasłowo. Wydano takie polecenie i wszyscy muszą mu się podporządkować. Wielu ludzi w ogóle nie potrzebuje przebudowy. Jeśli ktoś, dajmy na to, traktorzysta w kołchozie, pracuje solidnie, nie spóźnia się do pracy, nie nadużywa alkoholu — po co mu „pieriestrojka"? On już jest „pieriestrojonnyj".

Rok temu Michaił Gorbaczow na spotkaniu z intelektualistami nad jeziorem Isyk stwierdził po raz pierwszy, że przyszedł czas, gdy interesy ogólnoludzkie muszą wyprzedzać interesy klasowe. Niejeden z marksistów doznał chyba szoku. Ale przecież tak jest. Inne są czasy. U nas ludzie mówią, że popiół z kapitalistów i komunistów będzie taki sam. Wszyscy powinniśmy uświadomić sobie, że historia jest procesem dynamicznym. Ani Marks, ani Lenin nie rościli sobie pretensji do przewidywania w detalach przyszłości naszej cywilizacji.

— W jaki sposób „głastnost" zmieniła charakter pańskiej pracy? Jak objawia się ona w zawodzie dziennikarskim? Jakie nowe możliwości otworzyła przed piszącymi?

— Będę mówił z pozycji dziennikarza radzieckiego, pracującego w kraju socjalistycznym. Przez wiele lat obowiązywała u nas taka opcja: wszystko, co ma miejsce w kapitalizmie, jest złe, wszystko, co dotyczy rzeczywistości socjalistycznej, jest dobre. Nie istnieją tutaj żadne problemy. Ani w Rumunii, ani w Polsce, ani w żadnym innym kraju naszego obozu. I nagle okazuje się, że przychodzą w Polsce lata osiemdziesiąte. Na czytelnika radzieckiego informacja o polskim kryzysie spada jak przysłowiowy grom z jasnego nieba.

Obecnie sytuacja w tej mierze uległa zupełnej odmianie. Tuż po przyjeździe do Warszawy, cztery lata temu, swoją lekturę zaczynałem od prasy polskiej (bez żadnych komplementów — jest ona bardzo ciekawa). Obecnie jednak zaczynam już czytanie od prasy radzieckiej. Mówi bowiem ona o tym, co nas boli. I jestem przeciwnikiem wszelkich w tym względzie ograniczeń. Cóż to bowiem znaczy wołanie: „Więcej jawności!" Albo jawność jest, albo jej nie ma. To jak z powietrzem, którym oddycha człowiek.

— Jak patrzy pan w związku z tym na pisanie o naszych wzajemnych sprawach, o sytuacji wewnątrz obozu? Dotychczas obowiązywał tu ton pełen zgodności i harmonii. Tymczasem ostatnio ujawniono choćby problem węgierskiej mniejszości w Rumunii i inne niezgodności.

— Może pana rozczaruję, ale jestem tu zwolennikiem dużej ostrożności. Deklarujemy przecież wzajemną przyjaźń. Dobry przyjaciel wytyka wprawdzie przyjacielowi jego wady, ale czy zaraz musi mu przypominać, jak to kiedyś w dzieciństwie się pobili? To są sprawy skomplikowane. Słowem, powinna tu obowiązywać jawność, ale bez przekraczania intymnych obszarów życia danego narodu. Tak to rozumiem.

— Co, pana zdaniem, będzie miało decydujący wpływ na powodzenie przemian w Polsce? Jak widzi pan przyszłość naszej reformy?

— To bardzo trudne pytanie. Obawiam się, że dzisiaj nie zna na nie odpowiedzi żaden Polak. Sądzę wszakże, że istota powodzenia musi opierać się na konsekwencji. Program II etapu reformy gospodarczej jest wspaniały. Nie będę jednak ukrywał, iż, moim zdaniem, również u was istnieje warstwa biurokratyczno-antyreformatorska, hamująca cały proces przebudowy. Z drugiej zaś strony, funkcjonuje także społeczne rozbuchanie żądań i aspiracji ponad miarę. Przykładem tego są choćby ostatnie przypadki perturbacji i strajków w niektórych zakładach pracy. Słowem, cały proces jest zjawiskiem niezwykle skomplikowanym, pełnym rozmaitych, często sprzecznych uwarunkowań. Pokonywanie tych sprzeczności wiąże się przy tym nierozerwalnie z problemem demokratyzacji. Tymczasem zarówno wy, jak i my demokracji musimy się dopiero uczyć. Sądzę, że Polska jest w tym względzie w nieco lepszej sytuacji. Tradycje demokratyczne mają bowiem u was o wiele głębsze korzenie.

Michaił Botian

Ale problem demokracji to także problem samodyscypliny narodowej. Jej brak prowadzi bowiem do anarchii. Choćby nasze niedawne problemy narodowościowe. Ten konflikt wynikał właśnie z braku przygotowania do nowych, demokratycznych zasad funkcjonowania państwa. Na takich sytuacjach żerują często rozmaici awanturnicy polityczni. Demokracja nie może więc być celem samym w sobie, lecz raczej środkiem do celu.

— Jak pan widzi miejsce inteligencji w społeczeństwie socjalistycznym?

— Ostatnio pojawiło się w polskiej prasie wiele artykułów na ten temat. Osobiście nie pochodzę z rodziny inteligenckiej, ale rolę tej klasy widzę jako niezwykle ważną. Spróbujmy spojrzeć na ten problem z punktu widzenia historycznego. W okresie stalinowskim inteligencja została zepchnięta na margines. Najwybitniejsi intelektualiści, jak choćby Wawiłow, byli w tym okresie represjonowani. Ich miejsce zajmowali awanturnicy typu Łysenki. Ten czas miał, moim zdaniem, decydujący wpływ na obecną kondycję państwa. Bez inteligencji nie może być bowiem postępu. Nie chciałbym powracać tu do systemu różnic klasowych, ale zachwianie proporcji dochodowych między sferą budżetową a produkcyjną uważam za prawdziwe nieszczęście. Panujące w niektórych kręgach opinie o chwiejności ideologicznej inteligencji należy włożyć między bajki. Inteligencja po prostu bulwersuje i napędza procesy społeczne. I taka powinna być jej rola.

jewódzki zaś PUPiK (Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki) zacierają ręce, że oferta bogata i klient ma nareszcie autentyczną możliwość wyboru. Ewentualne straty z racji nie sprzedanego towaru nie przerażają. W ramach jednego koncernu (RSW „Prasa — Książka — Ruch") wciąż jeszcze nadmiar zwrotów udaje się finansowo załatać ogłoszeniami.

Aktualne pytania rodzą się obecnie dwa: 1) czy owo zachwianie równowagi jest zjawiskiem chwilowym i tak jak przyzwyczailiśmy się już, że po śniadaniowe zakupy trzeba wychodzić z podręcznym woreczkiem pieniędzy, przyzwyczaimy się także do „nawisu" prasowego?, 2) czy objawione tendencje okażą się trwałe i na weekend zaopatrywać się będziemy w lokalną popołudniówkę oraz ten jeden jedyny, „nasz" tygodnik? Przy wciąż rozszerzającej się światopoglądowo rozpiętości naszej prasy to drugie zjawisko byłoby ciekawe. Sądzę, że i dyrektor Kwiatkowski z CBOS chętnie by się dowiedział, z jaką to linią publikacyjną większość Polaków pragnie się identyfikować. Póki co bezspornie prym wiedzie tu liberalna „Polityka" (ale, uwaga, superliberalna „Res Publica" leży już stosami w księgarniach). Czy można zatem i należy wyprowadzać z tego jakieś wnioski?

Prawdziwą „jaskółką" w tej cenowej wiośnie jest wciąż utrzymujący się między Polakami (a wcale nie tak znów rozpowszechniony wśród innych nacji) zwyczaj zakupu grubego pakietu prasy przy okazji tradycyjnych świąt. Pod tym względem nic się tu nie zmieniło i nawet najlichsze pisemka wypchnęły swe wielkanocne nakłady bez większych zakłóceń. A więc równowagi między kiełbasą a duchem nie udało się, jak na razie, rozchwiać nawet „rozchwianej" złotówce.

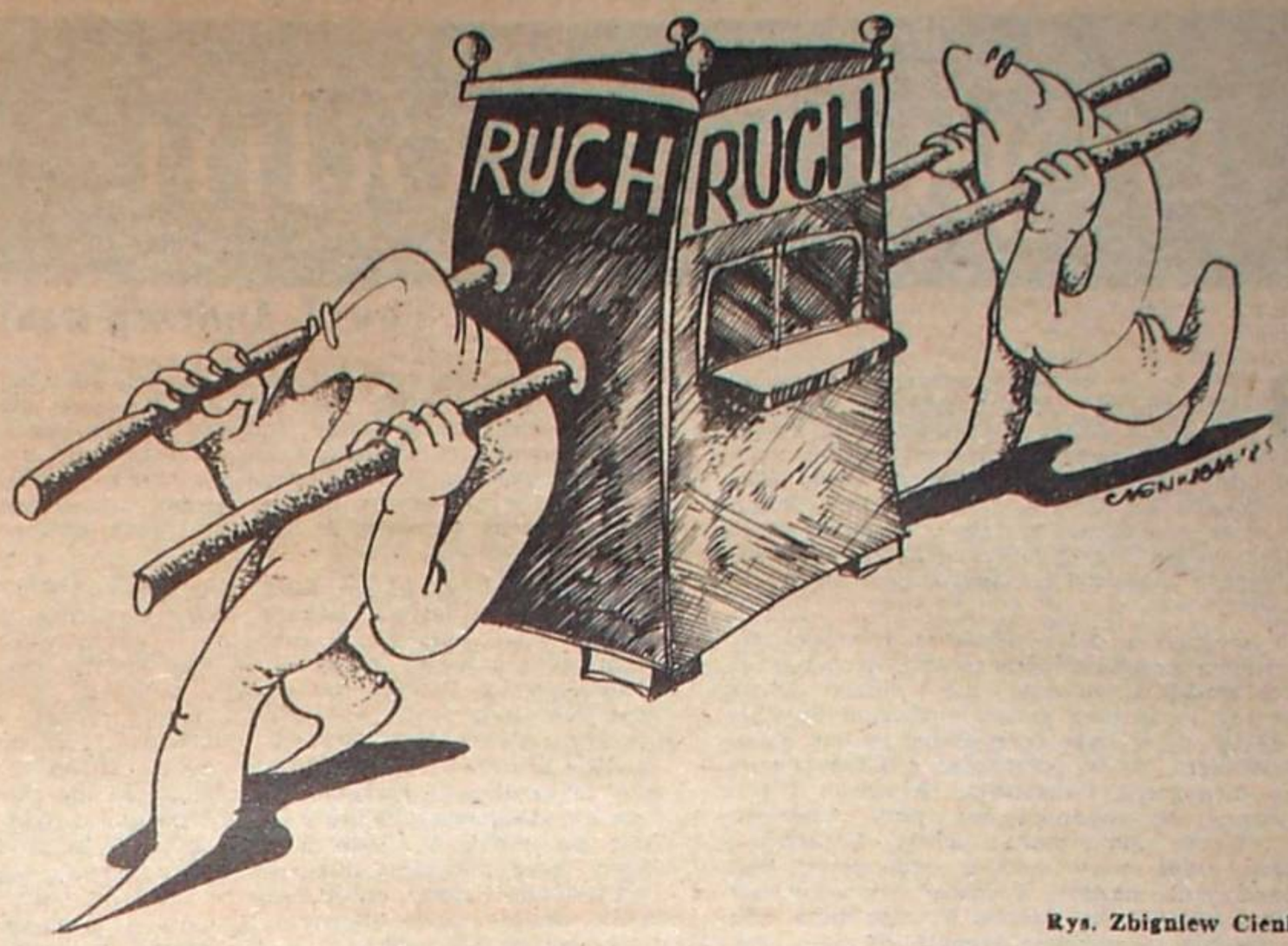

Rys. Zbigniew Cieniuch

Ciekawie pisze u nas o tych sprawach profesor Zasławska. Naturalne w socjalizmie przemieszanie klas społecznych prowadzi do wyodrębnienia się jakby dodatkowych grup w ramach tej samej warstwy. Klasa robotnicza nie jest już także warstwą jednolitą. Przy rozpatrywaniu więc zagadnień klasowych należy unikać sprowadzania całej kwestii do prymitywnych podziałów, do pustych generalizacji.

— Pomówmy teraz może o sprawach natury ogólniejszej. Jakie procesy współczesnej cywilizacji napawają pana szczególną troską? Gdzie tkwi najważniejszy konflikt naszego świata i jak widzi pan tego świata najbliższą przyszłość?

— Sytuacją współczesnego świata jestem bardzo zaniepokojony. Okazuje się, że człowiek, więcej spożywając (również dóbr pozamaterialnych), burzy jednocześnie swoje naturalne środowisko. Dla mnie podstawowy konflikt naszej cywilizacji zawiera się właśnie w zagrożeniu ekologicznym, rozumianym jak najbardziej szeroko. Człowiek stał się obecnie tak wygodny, że najwygodniej jest już mu zwalczać samego siebie. Eskalacja zbrojeń stanowi zagrożenie bezpośrednie, ale największe pośrednie niebezpieczeństwo tkwi w działaniach napędzających tę eskalację, a więc we wszystkich niekontrolowanych aspektach rozwoju nowych technologii. Jeśli świat nie odnajdzie tu rychło pewnej równowagi, jego przyszłość okaże się tragiczna. Czy człowiekowi zabraknie mądrości, by uratować siebie? Oto jest pytanie. Pewną nadzieję stanowi wysuwana przez M. Gorbaczowa idea socjalistycznego personalizmu i nowego myślenia politycznego.

Niepokojąca jest także sprawa nierównomiernego tempa rozwoju współczesnej ludzkości. Wielu młodych ludzi, u nas i u was, zapatrzonych jest bezkrytycznie na Zachód. Ale my wcale nie powinniśmy tego Zachodu kopiować. Musimy być bogatsi, to jasne, ale czy wraz z rosnącym komfortem życia mamy importować wielkie problemy społeczeństw konsumpcyjnych? Pytanie, czy lepiej być bogatym i sfrustrowanym, czy też mniej zasobnym lecz szczęśliwym, wcale nie jest takie trywialne. I nie mieści w sobie elementów uproszczenia. Zawsze warto o tym pamiętać.

— Czy mógłby pan powiedzieć coś o swojej gazecie? Jak funkcjonuje ona w obecnej radzieckiej rzeczywistości? Które z problemów „pieriestrojki" są w szczególnej orbicie zainteresowań pańskiego pisma?

— Na początek kilka podstawowych danych. „Komsomolskaja Prawda" jest organem KC Komsomołu i została założona w 1925 roku. W ostatnich kilku latach zwiększyła podwójnie swój nakład. Obecnie wynosi on ponad osiemnaście milionów egzemplarzy. Obok codziennych wydań pisma, publikujemy także tygodniowy dodatek „Sobiesiednik" (Współrozmówca) w nakładzie miliona dwustu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy. Drukujemy go na japońskich maszynach.

Charakterystyczną cechą obecnego funkcjonowania naszej gazety stanowi ogromna ilość nadchodzących do redakcji listów. Około sześciuset tysięcy rocznie. Te listy zadają kłam teoriom o bierności młodzieży i w ogóle społeczeństwa. Proszę wybaczyć, ale upatruję w tym także różnicę między dużą grupą młodzieży polskiej i młodymi ludźmi u nas. Jakże często w Polsce można napotkać owe ironiczne gesty: „To wszystko nie ma sensu. Z tego kraju i tak nic nie będzie". U nas bardziej widoczna jest jeszcze chęć zrobienia czegoś, wykazania się życiową aktywnością. Zamiast sarkazmu, z listów tych przebija ból i zatroskanie.

Jeśli chodzi o tematykę naszych publikacji, to jest ona zróżnicowana. Podejmujemy stosunkowo dużo tematów historycznych. Głośny był nasz artykuł o „Leningradzkim dziele", losach sekretarza leningradzkiego Komitetu — Kuzniecowa. Także jeden z pierwszych artykułów o Berii, zatytułowany „Sługa". Ostatnio duże poruszenie wywołała publikacja o losie sekretarzy Komsomołu, a zwłaszcza Aleksandra Kosariewa — straconego w 1938 roku. Ci młodzi ludzie do końca zachowali wówczas godność. Nie wydali nikogo i nie zdradzili swoich ideałów. Nigdy nie przyznali się do sugerowanej im winy. Dużo piszemy także na tematy ekonomiczne. Dają one asumpt do szerokiej społecznej dyskusji o cenach, dochodach, statusie przedsiębiorstw itp. Gazeta prowadzi również działalność organizacyjną. W najbliższej przyszłości zamierzamy powołać firmę, która zajmowałaby się kształtowaniem mody młodzieżowej.

— A co pana, jak dotychczas, najbardziej w Polsce zaskoczyło? Co sprowokowało pana największą fascynację?

— Trudno odpowiedzieć na to pytanie precyzyjnie. Muszę wszak przejrzeć dokładnie czteroletni okres mojego życia. Z pozytywów, na przykład, sposób prowadzenia rozmów w waszej telewizji, obowiązująca tu bezpośredniość. Fakt, że politycy przestali być działaczami państwowymi, a stali się politykami. Mają swoje indywidualne oblicze. (Choćby pamiętne spotkanie generała Jaruzelskiego z młodzieżą). W rozmowach z politykami ujawniają się u was często poglądy nieuczesane, kwestie sporne.

Mówiliśmy już o waszych ludziach, którzy przeżyli w naszym kraju ciężkie chwile. Ich stosunek do nas, pełen życzliwości i ciepła, był także dla mnie przyjemnym zaskoczeniem. Poza tym cała gama autentycznych, przyjaznych gestów wobec mojego kraju. Jeśli na przykład taksówkarz, dowiadując się, że pochodzę, jak to on mówi: „z Rosji", okazuje mi szczerą sympatię, to przecież wiem, że nie musi tego robić. Szczerość takiego gestu jest bezsporna. Ogromnym przeżyciem był także dla mnie zawsze Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Atmosfera tam panująca jest niezwykła. Wspaniała, niepowtarzalna i autentyczna.

A negatywy? No cóż, wraz z polską prasą boleję nad problemem emigracji. Polak zawsze kojarzył mi się z pojęciem patrioty, człowieka przywiązanego do własnej ziemi i własnej tożsamości. Proszę się nie obrazić, ale gotowość do zmywania szyb, podejmowania najbardziej upokarzających zajęć, byle tam, na Zachodzie, stanowi dla mnie przejaw narodowej hańby. Ja rozumiem, że tam jest wszystkiego więcej, ale tam jest tam, a tu jest tu. Być może, że ci ludzie tutaj nigdy nie osiągnęliby takiego standardu życia jak na Zachodzie, jednak co z tego? Trzeba poszukiwać jakichś innych wartości. Przecież Polska i przed wojną nie dorównywała poziomem życia krajom najwyżej rozwiniętym. Dodatkowym paradoksem jest jeszcze fakt, że większość tych emigrantów deklaruje niezachwianą rzekomo miłość do Polski. To po prostu śmieszne. Najprościej można by to przyrównać do sytuacji rodziny, w której mąż porzucił żonę dla bogatej kochanki, ale „nadal małżonkę kocha". Wie pan, zastanawiam się czy w Polsce nie dochodzi obecnie do swoistego „spieniężenia świadomości".

Pewnego dnia odwiedził mnie polski dyplomata, który wiele lat spędził na placówce w Moskwie. Przegadaliśmy cały wieczór. Mówiliśmy o teatrze, o literaturze, o kinie. I nagle powiedział mi on taką rzecz: „Wiesz, kiedyś uważano, że tylko my, Polacy, i wy, Rosjanie, umiemy naprawdę rozmawiać o poezji, o ludzkiej duszy. A teraz coraz trudniej mi to odnaleźć w kręgu mojej rodziny czy znajomych. Zaraz pojawia się problem pieniędzy".

Albo taka sprawa. Nie umniejszając wartości polskiej prasy, o której przecież wyrażałem się już pochlebnie. Gazety radzieckie potrafią wciąż jeszcze wyszukiwać pozytywne przykłady ludzkich zachowań, humanitarnych reakcji, „porywów serca". W polskich publikatorach brak mi takich treści. Czytałem gdzieś niedawno, że jakiś chłopak uratował tonącą w Wiśle dziewczynkę. Myślałem, że nada się temu ogromny rozgłos. Przecież to ilustracja ludzkiego wymiaru życia. Skończyło się na jednej drobnej informacji.

— Spróbujmy może jeszcze pospekulować o przyszłości. Gdyby jakieś pismo poprosiło pana o artykuł pt. „Związek Radziecki: Rok 2000", jaką wizję swojego kraju skłonny byłby pan przedstawić?

— I znowu zadaje mi pan pytanie ogromnie trudne. Sądzę, że sprawa przyszłości zależy przede wszystkim od stopnia, w jakim obecne przemiany okażą się nieodwracalne. W tej kwestii nie można przecież z góry upatrywać jakichś jednoznacznych gwarancji. Powiedziałbym więc tak: z przebudową trzeba się spieszyć, ale nie można jej ponaglać. Jest to sprawa bardziej konsekwencji niż tempa. Jesteśmy przecież bodaj najbogatszym państwem na świecie. Trzeba tylko nauczyć się to bogactwo należycie wykorzystywać. Jedno jest wszakże pewne, powrotu do starego nie będzie. Niech pan zauważy, nawet rok 1956, mimo braku powodzenia w całościowym reformowaniu państwa, naniósł już na jego życie nieodwracalne zmiany. Co zaś do prognozowania, to proszę sobie przypomnieć takie stwierdzenie Michaiła Gorbaczowa: „Jeśli przebudowa nam się nie uda, to nikt już nam nie uwierzy". Co wówczas stałoby się z naszym narodem, z naszą młodzieżą?

— Skoro tak często odwołuje się pan do słów sekretarza generalnego KC KPZR, proszę mi powiedzieć, jaka jest, pańskim zdaniem, jego osobista rola w procesie przebudowy?

— Trudna do przecenienia. Dawno nie mieliśmy polityka, który byłby tak wykształcony, który sam pisałby książki, który ujawniałby taki talent koncepcyjnego myślenia. Być może, że i on popełnia błędy, to przecież przywilej człowieka, jego zaangażowanie wszakże w polepszanie bytu narodu jest bezsporne. Byłem kiedyś w towarzystwie dziennikarzy radzieckich w restauracji w Poznaniu. W pewnej chwili podeszła do nas kelnerka i zapytała: „Jesteście, panowie, Rosjanami? W takim razie przekażcie Gorbaczowowi moje pozdrowienia". I podniosła palce do góry.

— Na koniec poprosiłbym pana o nieco informacji osobistych. Jaka droga przywiodła pana do stanowiska korespondenta „Komsomolskiej Prawdy" w Polsce? Czy praca w tym charakterze jest synekurą i jak wygląda rodzinne życie Michaiła Botiana?

— Ukończyłem Wydział Dziennikarski Uniwersytetu w Mińsku. Zaraz potem pojechałem na północ obwodu mińskiego, aby pracować w tzw. gazecie rejonowej. Znalazłem się w pięknej okolicy jeziora Narocz i rozpocząłem działalność w „Naroczańskiej Zarii". Była to kapitalna szkoła dziennikarskiego życia. Spędziłem tam trzy lata, formalnie jako sekretarz redakcji, a w istocie jako człowiek do wszystkiego. Robiłem zdjęcia, wywoływałem klisze, przygotowywałem skład. Pisałem wówczas dużo. Potem zostałem wybrany II sekretarzem Rajkomu Komsomołu. Jeszcze ponad dwa lata przebywałem w tym rejonie. Tam poznałem moją żonę i tam urodził się mój syn. Następnie przeniesiono mnie do KC Komsomołu Białorusi, do Mińska. W tym czasie po raz pierwszy odwiedziłem Polskę. Byłem w Płocku i Siedlcach. Swoją komsomolską karierę zakończyłem w Moskwie, w sektorze prasy, radia i telewizji KC Komsomołu. Przez cały okres swojej działalności nigdy nie porzuciłem pisania. Chciałem powrócić do zawodu. Szybko okazało się, że „Komsomolskaja Prawda" poszukuje kandydata na korespondenta do Polski. Znałem już wówczas trochę wasz język. I tak znalazłem się w Warszawie.

Gdybym miał podsumowywać teraz moje życie, te cztery lata spędzone w waszym kraju uznałbym za najciekawsze, nie licząc lat studenckich. Dużo poznałem i dużo się nauczyłem. Nie była to synekura. Pobyt tutaj był okresem ciężkiej pracy. Z jednej strony, jako korespondent, posiada człowiek duży obszar swobody, z drugiej zaś, wszystko realizuje się za pomocą samodyscypliny.

Noszę się z zamiarem napisania książki o Polsce. **Zakochałem się bowiem w tym kraju i na pewno pozostawię tu część swojego serca.**

Rozmawiał:
Wiesław Horabik

trójkąt zbrodni

Paweł Andrzejewski

BYŁO to 24 kwietnia, zaraz po dzienniku telewizyjnym, kiedy rozpoczęła się emisja serialu, który pasjonował całą Polskę. Marek R. podkręcił telewizor, aby lepiej słyszeć, mimo to przez głos lektora czytającego dialogi przebił się dziwny hałas z ulicy. Zanim zdołał zdjąć z parapetu kwiaty i otworzyć okno, dobiegł go brzęk rozbitego szkła, który w pierwszym odruchu skojarzył z rozpryskującą się butelką po winie.

Kiedy spojrzał w dół z wysokości trzeciego piętra, dostrzegł najpierw biegnącego mężczyznę. W szarówce zapadającego dnia nie widział dobrze jego twarzy i zapewne go nie rozpózna. Pamięta tylko, że ta twarz była skrzywiona jakimś dziwnym grymasem, co w połączeniu z gwałtownymi ruchami biegnącego świadczyło, że ucieka i jest przestraszony. Na chodniku, tuż przy krawędzi jezdni, twarzą do ziemi, leżał nieruchomy mężczyzna, a tuż przy nim, u jego głowy, stał drugi mężczyzna, ubrany w dżinsy i oftalionową kurtkę, tzw. biodrówkę. Marek R. zapamiętał ten ubiór i podał do protokołu szczegóły. Spodnie były już dobrze sprane i wytarte na udach, a u dołu nogawek mocno postrzępione, może nawet wycięte w ząbki. Kurtka była szara, ale rozpozna ją, gdyż z przodu, ukosem, przez całą jej długość biegł jaskrawoczerwony pas. Trzeci mężczyzna, również młody jak ten, który stał przy leżącym, biegł w ich kierunku z kołkiem w dłoni. Kiedy stanął przy leżącym, wtedy ten w dżinsach powiedział: „Wystarczy". Marek R. domyśla się, że chodziło o to, aby leżącego nie bić już kołkiem, tylko dać mu spokój. Wtedy Marek R. zbiegł szybko na dół, ale kiedy znalazł się na ulicy, tamtych dwu już nie było. Został leżący, ciągle bez ruchu, a wokół jego głowy rozlewała się kałuża krwi.

Przyglądał mu się chwilę, oszołomiony, zdezorientowany, usiłując przypomnieć sobie mocno już zatartą w pamięci wiedzę o udzielaniu pierwszej pomocy. Mężczyzna był dość dobrze zbudowany i jak Marek R. sądził wtedy — wydawał się wyższy i dużo silniejszy od każdego z napastników. Świadek nie widział u leżącego rany na głowie ani na karku, a jednak krew musiała się skądś wydostawać. Czerwona plama powiększała się i krew poczęła skapywać z chodnika na czarny asfalt jezdni, tuż przy studzience kanalizacyjnej. Kilka kroków dalej leżała tania teczka z dermy, zapięta tylko na jeden zamek.

Wszystko, co tu opisuję, trwało sekundy, o wiele krócej niż czytanie tego fragmentu. Marek R. pobiegł szybko do III Komisariatu MO, który znajduje się dosłownie kilkadziesiąt kroków dalej. Tyle, ile wynosi długość jednego, standardowego bloku mieszkalnego. Ile to może być? Trzydzieści, czterdzieści metrów? Na pewno nie więcej jak sto, a jednak była to na tyle spora odległość, że napastnicy czuli się bezpiecznie.

W komisariacie Marek R. dowiedział się, że milicja wie już o zajściu. Wyszedł uspokojony i szybkim krokiem wrócił z powrotem. Przy leżącym zastał sąsiada z drugiego piętra, Mirosława F., który podzielił się z nim swoją wersją wydarzeń. On także oglądał telewizję, ale chociaż okna były pozamykane, a głos z ekranu dosyć mocny, usłyszał w pewnym momencie: „Mam go". Potem był odgłos tępego uderzenia (ale nie było to rozbite szkło, tego Mirosław F. jest pewien). Wtedy ściszył telewizor i usłyszał, że ktoś mówi: „Ale mu dołożyłem". W mieszkaniu Mirosława F. nie ma kwiatów, okno otworzył więc błyskawicznie i zobaczył upadającego mężczyznę. Mężczyzna padał na twarz, wyciągając ręce przed siebie. Mirosław F. domyśla się więc, że tamten musiał zostać uderzony czymś ciężkim w tył głowy, albo w kark. Wtedy napastnicy, których było czterech — uciekli. On także odniósł wrażenie, że ci, którzy bili, wyglądali na młodszych, niższych i dużo słabszych fizycznie od tego, który tutaj leży i krwawi. Nie widział ich twarzy, raczej zamazane kontury rysów i grymasy. Pamięta za to inne szczegóły: sylwetki chłopców, ich ubiory, długość i kolor włosów, może nawet rozpoznałby głos jednego z napastników, ale nie jest tego pewny.

Przy leżącym mężczyźnie poczęli gromadzić się gapie. Marek R. pobiegł powtórnie do komisariatu poprosić, aby „wezwali chociaż karetkę". Kiedy znowu wrócił, karetki ani milicji jeszcze nie było. Tłum gapiów gęstniał, toteż dopiero po dłuższej chwili Marek R. rozpoznał, że kobietą, która klęczy koło rannego, jest sąsiadka z tego samego bloku, Grażyna G. „Wtedy pomyślałem, że to leży jej mąż i zrobiło mi się niedobrze".

Mirosław F. zareagował podobnie. Gdy zobaczył, jak pani Grażyna rozpoznaje swojego męża, ugięły się pod nim nogi i musiał odejść na bok, gdyż bał się, że upadnie. Nie wie, dlaczego tak jest, ale wydaje mu się, że kiedy widzimy śmierć kogoś, kogo znamy, to czujemy, jakby zabrano nam kawałek naszego życia. „Dlatego — mówi — było mi dziwnie nieswojo, zupełnie inaczej, niż na początku, kiedy sądziłem, że leży tutaj obcy, którego nie znam".

Mirosław F. mylił się. Leżący nieruchomo Konstanty G. żył jeszcze. Lekarz, który wyskoczył z karetki „R", ukląkł nad rannym i odchyliwszy zamknięta powiekę, zaświecił w jego źrenicę maleńką latarką. Ponaglił sanitariuszy, a gdy ci układali Konstantego G. na noszach, ranny jęknął i skrzywił twarz. Pani Grożyna pogładziła męża po czole i przestała szlochać. Ta wyraźna oznaka życia uspokoiła ją i przyniosła nadzieję, że nie stanie się najgorsze. Pobiegła do mieszkania i wróciła po chwili z miednicą i ręcznikiem. Zebrała krew męża i wytarła ulicę do sucha. Zdawało się jej (mówiła potem), że ocalając tę krew od zadeptania, zmieszania z ulicznym brudem i kurzem, dowodzi swojej miłości i przywiązania do męża. Że ten gest, dla innych śmieszny, a może magiczny, przedłuża cienką nić, łączącą ją z Konstantym.

Milicjanci, którzy pojawili się razem z lekarzem, nie mieli już wiele do zrobienia. Kilka zdjęć miejsca zajścia, rutynowe pytania wobec gapiów, dokładne oględziny najbliższej okolicy zajęły jednak trochę czasu. Ale tzw. śladów było niewiele: szkło z rozbitej butelki i teczka, w której znajdował się gaźnik od „żuka". Zabezpieczono również pustą butelkę po winie „Rubin" oraz kołek długości około 60 centymetrów, które to przedmioty „mogą mieć związek z popełnionym przestępstwem".

Długi jeszcze czas po odjeździe karetki i radiowozu MO ludzie gromadzili się przy miejscu pobicia, komentując wydarzenie i dzieląc się swoimi myślami na temat pracy milicji, od której zwłaszcza tutaj „na Hiroszimie", oczekuje się bardzo wiele. Ta dzielnica Białegostoku, zamknięta ulicami Antoniukowską, Wierzbową i Gagarina, cieszy się bowiem ponurą sławą „trójkąta zbrodni", a nazwa „Hiroszima", której używają zgodnie milicjanci i tzw. element, świadczy zapewne o tym, że śmierć jest tutaj zjawiskiem równie częstym, jak w odległym mieście japońskim, dotkniętym przez kataklizm. Tyle, że kataklizm „Hiroszimy" białostockiej nie wynika z promieniowania alfa i beta. Nie prawa fizyki, ale prawa marginesu ludzkiego nadają ton dzielnicy, wyznaczając ponury rytm zbrodni i występku.

To tutaj trzy miesiące wcześniej zadźgano kuchennym nożem starszego mężczyznę, gdyż ośmielił się zwrócić uwagę kilku wyrostkom, aby nie rzucali śnieżkami w jego niewielki kiosk warzywny. To tutaj, na „Hiroszimie", rok wcześniej kilkunastu uczniów, w tym także ze szkoły podstawowej, złapało na ulicy piętnastoletnią dziewczynę. „Złapaliśmy ją na wydymanie" — powiedział przesłuchiwany czternastolatek. Było to w czerwcu, około godziny 20, a więc można powiedzieć, że w biały dzień. Dziewczynę niesiono kilkadziesiąt metrów między blokami, a potem po schodach na czwarte piętro. Chłopcom nie przeszkadzało, że dziewczyna wzywa pomocy, jakby wiedzieli, że nikt się tym nie zainteresuje. Wypuścili ją o piątej rano, kiedy oni sami i sproszeni z sąsiedztwa koledzy mieli już dosyć.

Te i inne wypadki przypominał ochoczo kilkunastoosobowy tłumek, zgromadzony w miejscu pobicia Konstantego G. Ludzie byli rozgoryczeni i oburzeni, że w dzień, trzydzieści metrów od jednej z głównych ulic miasta, w pobliżu komisariatu MO, można pobić, a nawet zabić człowieka. Że trzeba tak długo (na karetkę zawsze czeka się „za długo", ponieważ takie jest ludzkie, subiektywne odczucie czasu) czekać na przyjazd pogotowia i milicji.

Dochodzenie, podjęte natychmiast przez funkcjonariuszy III Komisariatu, pozwoliło na ustalenie wydarzeń, które doprowadziły do tragicznego zajścia. Konstanty G. wrócił tego dnia z pracy około godziny 16, zjadł obiad, po czym włożył do teczki gaźnik i poszedł do Franciszka M., który mieszka na sąsiedniej ulicy. Zamierzali naprawić gaźnik oraz sprawdzić w piwnicy instalację elektryczną, która od jakiegoś czasu szwankowała. Zanim jednak zabrali się do pracy, zaczęli pić wódkę. Żona Franciszka M. smażyła właśnie wątróbkę i — jak relacjonował później Franciszek M. — „jakoś nie uchodziło jeść tę wątróbkę na sucho". Zeznał dalej, że wypili we dwóch około trzystu gramów (żona nie piła), gdyż w półlitrowej butelce zostało nieco mniej niż połowa. Picie i zakąszanie trwało do godziny 20. Nie zabierali się już do pracy, ponieważ Konstanty G. obiecał żonie, że wróci do domu, aby towarzyszyć jej w oglądaniu serialu telewizyjnego. Zaraz więc po dzienniku wyszli obaj z domu, gdyż Franciszek M. chciał odprowadzić kolegę i „trochę się przewietrzyć".

Kiedy byli już w krótkim pasażu łączącym ul. Antoniukowską z Broniewskiego, przy której stoi blok Konstantego G., podbiegło do nich czterech chłopców. Jeden z nich powiedział: „Co, chojraki, zaraz was urządzimy", a drugi dodał: „Bierzemy kołki", po czym dwóch zaatakowało Franciszka M., a dwóch Konstantego G. Wtedy ten pierwszy zaczął uciekać, nie bacząc, co dzieje się z jego kompanem. Biegł między blokami w kierunku ruchliwej ulicy Gagarina, a kiedy zgubił pościg, wrócił spokojnie do domu. Nie zamierzał wracać na miejsce zaczepki, ponieważ uważał, że kolega również uciekł i jest bezpieczny. Nie przypuszczał, że po jego ucieczce Konstanty G. może mieć przeciwko sobie czterech napastników i że przy takiej przewadze na pewno się nie obroni. Po prostu Franciszek M. nie myślał o tym i tyle.

Mimo że także Franciszek M. jako trzeci ze świadków podał szczegółowe rysopisy napastników, dochodzenie, jak można sądzić na podstawie akt, toczyło się raczej niemrawo. Kolejny protokół datowany jest dopiero na 2 maja. Tego dnia o godzinie 17 Konstanty G. zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Sekcja zwłok pozwoliła jednoznacznie ustalić przyczynę zgonu. Według protokołu, podpisanego przez doktora Hieronima L., było nią „stłuczenie mózgu", zaś uszkodzenia „powstały od urazów zadanych narzędziem twardym, tępym lub tępokrawędzistym". Z opisu obrażeń wynika, że Konstanty G. musiał otrzymać kilka bardzo silnych ciosów. Niewykluczone, że już pierwszy pozbawił go przytomności, a następne zadawano bezbronnemu, leżącemu bez ruchu człowiekowi, w czym widzieć można szczególne okrucieństwo. Doktor Hieronim L. wyliczył w protokole „podbiegnięcia krwawe powłok miękkich głowy i twarzy, szczególnie w okolicy obydwu łuków jarzmowych, w okolicy obu oczu i w okolicy podbródkowej. Złamanie kości podstawy czaszki, złamanie obydwu łuków jarzmowych, złamanie kości twarzo-czaszki w okolicy prawego oczodołu i podwójne złamanie żuchwy. Stłuczenie mózgu w okolicy płata ciemieniowo-potylicznego oraz w obrębie ciała modzelowatego" Zdaniem lekarzy, Konstanty G. umrzeć musiał i nawet gdyby znalazł się w szpitalu natychmiast po pobiciu, niczego by to nie zmieniło. Wobec tego rodzaju i tak rozległych obrażeń organizm człowieka i medycyna są bezbronne.

Następnego dnia Grażyna G. odebrała ze szpitala kartę zgonu męża oraz jego ubranie powalane krwią. Przesłuchującemu ją funkcjonariuszowi MO powiedziała: „Jest mi wiadomo, że mąż był bity kołkiem i ten kołek leży wciąż koło śmietnika".

Dopiero po śmierci Konstantego G. dochodzenie nabiera wigoru, a śledztwo przejmują funkcjonariusze z Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Dobry wzrok i pamięć świadków okazały się bezcenną pomocą. Na podstawie podanych rysopisów i szczegółów ubioru siedemnastoletni Tadeusz J., znany milicjantom z III Komisariatu jako chłopiec sprawiający kłopoty wychowawcze i utrzymujący kontakty z tzw. elementem podejrzanym, zidentyfikował Andrzeja B. oraz wskazał nazwiska rówieśników, z którymi tamtego widuje się najczęściej.

Był to właściwy trop. Przesłuchany jeszcze tego samego dnia o godzinie 15.50, Andrzej B., pseudonim „Żaba", przyznał się do udziału w bójce i pobiciu młodego mężczyzny oraz wskazał czterech pozostałych uczestników zajścia: Krzysztofa K., Jacka R., Czesława Z. i Mirosława A. Jego zdaniem, przebieg zajścia wyglądał jednak zupełnie inaczej niż to opowiadał Franciszek M.

Ale nie przyspieszajmy tej relacji. Tzw. tło społeczne i specyficzna atmosfera, w jakiej bytują kilkunastoletni chłopcy na „Hiroszimie", jest nie mniej ważna niż bezpośrednie przyczyny czy pretekst zaczepki. Zobaczmy więc, jak spędził tamten pechowy dzień siedemnastoletni uczeń I klasy szkoły zawodowej.

Andrzej B. wstał z łóżka dopiero o godzinie 11. Do szkoły nie poszedł, ponieważ — jak twierdzi — „nie chciało mu się pierdzieć w krzesło i odpowiadać na głupie pytania". Przesiedział w domu do godz. 14, po czym wyszedł przed blok „poszukać towarzystwa". Posiedział jakiś czas na ławce przed domem, a potem poszedł na boisko pobliskiej szkoły podstawowej, gdzie spotkał kolegów grających w piłkę. Spędził z nimi bez przerwy kilka godzin, a gdy stali pod kwiaciarnią i mieli się już rozchodzić, gdyż w telewizji zaczynał się popularny serial, zaczepili ich dwaj starsi od nich mężczyźni.

Andrzej B. upiera się przy tym, że mężczyźni byli pijani. „Zalatywało od nich wódką i zataczali się". Zapytali chłopców o papierosy, a gdy ci odrzekli, że żaden z nich nie pali, wtedy ten, którego później pobili, odpowiedział: „No tak, przecież gówniarze nie palą". Krzysztof K. miał powiedzieć do mężczyzn: „Zrywajcie się". Chłopcy nie zamierzali wdawać się w awanturę i Andrzej B. uważa, że gdyby tamci dwaj odeszli, nikt by ich nie zaczepiał. Ale oni widocznie uznali, że są mocniejsi i że do nich, jako starszych, powinno należeć ostatnie słowo. Zatrzymali się i przyjęli pozycję, jakby chcieli się bić. Wtedy Jacek R. uderzył Konstantego G. pięścią w twarz, zaś sam Andrzej B. dołożył mu jeszcze dwa razy, a gdy tamtem upadł, Jacek usiadł na nim i bił go po głowie. Ten drugi mężczyzna (mówił Andrzej B.) uciekł zaraz, a Czesiek i Mirosław pobiegli za nim. Po chwili wrócili z gonitwy i wtedy wszyscy razem odeszli, zostawiając Konstantego G. na chodniku.

(cdn.)

Sensacje z przeszłości

Wstyd mnie jako małżonki cnotliwej...

NIE znamy ani jej imienia, ani nazwiska. Nie możemy powiedzieć, czy była piękna czy brzydka. Posiadamy jedynie opowiedziane z werwą, szczerością i realizmem jej zeznanie, złożone przed sądem grodzkim lubelskim w 1654 r., zeznanie, w którym portretuje swego zmarłego małżonka i odsłania kulisy rozmaitych spraw. Relacja to prawie unikalna, przestępstwa małżonka oraz przysłowiowa tyrania mężowska zostały ukazane tu z całą ostrością.

Na podstawie owego zeznania, zatytułowanego „Regestr wydatku moich własnych pieniędzy małżonkowi memu nieboszczykowi zaraz po ożenieniu przez wszystek czas", możemy ustalić, że zeznająca to wdowa po cyruliku lubelskim, a jej zmarły mąż to człowiek, którego lepiej było nie mieć ani za męża, ani nawet za sąsiada — awanturnik, hulaka, rozrzutnik, malwersant, egoista i tyran.

Choć układ ogólny życia wysuwał rzadko mieszczkę poza domowe progi i poza nimi widywały ją częściej tylko kościelne mury lub ratuszowe sale, rzadziej rzemieślnicze gospody, w razie potrzeby i na zewnątrz wykazywała swą energię. Często z pełną znajomością spraw warsztatu czy sklepu — spraw zakazanych jej oficjalnie przez prawo — ujmowała ich ster w swe ręce. Była przede wszystkim jednak żoną, współuczestnikiem trosk męża w rodzinie.

Niejednokrotnie dorabiające się mieszczki doglądały wszak interesów mężowskich, a rząd nad czeladzią męża sprawowały najczęściej w warsztacie panie majstrowe. Własną przemyślnością, bez oglądania się na zawód mężowski, handlowało sporo kobiet, obejmując w swoje wyłączne posiadanie sprzedaż niektórych artykułów; były to solarki, olejarki, płótniarki, rybiarki. W piekarniach domowych „kołaczniczki" wytwarzały na sprzedaż słodkie ciasta o ponętnych kształtach obwarzanków i precli, konkurując z cechowymi piekarzami. „Panie piwne" znaczyły zieloną wiechą swe domy, gdy nowy war piwa i miodu został dokonany, i skuszonym tym znakiem przybyłym gościom rozlewały z uśmiechem pieniące i złociste płyny. Szynkarki zaś w przestronnych piwnicach — obok tych ulubionych napojów dawnych — prowadziły wyszynk sprowadzanego z zagranicy wina, sprzedawały „ognistą wodę" gorzelnianą — wódkę, w której nad Wisłą dopiero w XVI wieku zasmakowano.

Pracą i rodziną żyła mieszczańska kobieta. Wszystkie były na pozór jednakie: cierpliwe, gospodarne, oddane gorliwie sprawom domowego ogniska. Rzadko która buntowała się przeciwko zbytniemu uciskowi małżeńskiego jarzma. Poza sporami małżeńskimi i ich sądowymi epilogami, niekiedy tylko wychodziły na zewnątrz niewiadome afekty serca i wybuchy temperamentu. Praca je ścigała, a nie westchnienia kochanków, nie bożek miłości Amor. Nawał obowiązków żon, matek i gospodyń, pomoc mężowi w interesach — wszystko to zapełniało czas, zbyt mało było chwil na rozmyślania o miłości, prócz tego zbyt trzeźwe, zbyt praktyczne były niewiasty mieszczańskie, aby nie zdawać sobie sprawy, czym miłość przygodna, zdrada może się skończyć, ile może kosztować, że za miłość występną publicznie przez kata mogą być „chlustane" lub pójść na stos.

Mieszczanki bywały żonami, wdowami lub zakonnicami, świeckich samotnic niewiele było, a tych los należał do bardzo smutnych, jeśli nie miały rodziny i majątku. Organizacje cechowe zabraniały kobiecie pracy rzemieślniczej. Według pojęć ówczesnych, ujmę przynosiło pracownikom męskim czynne uczestnictwo niewiasty w rzemiośle. Podkreślają to wyraźnie cechowe statuty, mające jedynie względy dla owdowiałych majstrowych. Stąd nie dziwmy się, że mieszczki musiały być cierpliwe i znosić nieraz wiele draństwa od swych małżonków, jeśli takimi los je obdarzył.

Zeznanie wdowy po cyruliku lubelskim zaczyna się niewinnie: „Naprzód kazano mu listy wyćwiczenia się rzemiosła i drugie listy od urodzenia pokazać, jako zwyczaj, dałam na drogę złotych 120. Znowu chciał jechać do Urzędowa na mieszkanie, bo nie miał za co cechu przeprawić w Lublinie, a ja, przeprawując mu cech, dałam pieniędzy swoich własnych gotowych złotych 400". Ubogi czeladnik nie ma pieniędzy na zdobycie tytułu mistrza i przyjęcie do cechu, więc imprezę tę finansuje mająca gotówkę żona.

Następne sprawy miały już zdecydowanie inny charakter — to różnego rodzaju wykroczenia i przestępstwa, w tym jedno morderstwo: „Kiedy dał szlachcicowi w gębę podczas [sesji] Trybunału [Koronnego], wsadzoho go było do katusze i miano mu rękę uciąć; jednając, dałam za niego swoich własnych pieniędzy złotych 300. Kiedy jechał do Kazimierza [nad Wisłą], zabił chłopa; odpraszając go od śmierci i odkupując i ze wszystkimi nakładami, wydałam pieniędzy swoich własnych złotych 1500 [...]. Krawczyka gdy ranił, jadąc do chorego, dałam pieniędzy swoich własnych złotych 80 [...]. Będąc w Ostrowie [Lubelskim], w karczmie uciął wierzch głowy dudzie [muzykantowi], od którego wyleczenia dałam złotych 30. Wtenczas, jadąc razad, wstąpił do karczmy, gdzie go chłopi zbili; dałam doktorom od niego złotych 80. Podczas [sesji] Trybunału [Koronnego] strzelił na cerkiew. Porwano go do wieży, którego odkupując gardło i z grzywnami dałam złotych 400. Długi, które po śmierci jego odzywają się, tych nie masz skąd płacić. Był uczyniony egzekutorem albo inaczej opiekunem testamentu nieboszczyka Matiasza Sukiennika i rzeczy po niem pobrane, jako i srebro, to nie wiedzieć, gdzie podział, czego się upominano i teraz upominają".

Wymienione tu kwoty nie były wszystkimi pieniędzmi wydanymi na kosztownego małżonka. Żona między innymi wykupiła go z więzienia, gdy „wsadził" go tam niejaki Mężyk, oraz spłacała dług, jaki zaciągnął na kamienicę. Łącznie wdowa po cyruliku wydała na zmarłego małżonka pokaźną sumę — około 4000 zł. W ówczesnej gospodarce było to rzeczywiście dużo. Na przykład płaca roczna architekta nadwornego zamojskiego Bernarda Morando wynosiła 500 zł, a Macieja Jaworowskiego rektora Akademii Zamojskiej — 230 zł. Na dworze zamojskim koniuszy pobierał pensję roczną w wysokości 130 zł, piekarz — 20 zł, a piwowar — 16 zł. Ceny zaś kształtowały się następująco. Średnia cena pary butów w 1654 r. wynosiła we Lwowie 2 zł 25 gr, a w Lublinie — 1 zł 13 gr. Średnia cena wołu w 1641 r. wynosiła we Lwowie 17 zł, a w Lublinie — 22 zł.

Na zakończenie zacytujmy raz jeszcze fragment zeznania, fragment, z którego także wynika, że cyrulikowa lubelska była już uprzednio zamężna i miała dzieci z poprzedniego małżeństwa: „Insze rozchody prace jego te miał na co obracać, bo chował myśliwstwo — ptaki, rozjazdy [sieci myśliwskie], jedwabne płachty, do kuropatw psy kupował. Za legawego psa nic to było dać 10 talarów i dwie strzelby, za legawą sukę nic to było dać czerwonych złotych 15. W ostatku wstyd mnie jako małżonki cnotliwej powiadać czego inszego, a jam z nim musiała zażywać kwaśnych jabłek i cierpkich gruszek, a dzieci moje prawie za niewolnice i za kucharki robili mu, choć w ich pracy siedział".

Adam Andrzej Witusik

Krzyżówka nr 12 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment noweli, której tytuł, a przed nim imię i nazwisko autora (niedawno zmarłego polskiego pisarza) utworzą pierwsze litery 19 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

WYRAZY POMOCNICZE:

1. w wannie lub jeziorze — 54. 48. 51. 170. 162. 130.
2. miasto w woj. suwalskim — 14. 12. 61. 101. 173. 149. 84. 93.
3. niezbędne przy płaszczu czy marynarce — 47. 9. 31. 167. 144. 41.
4. zewnętrzna część ziarna — 2. 105. 125. 22. 64. 172.
5. miasto na Ukrainie — 13. 117. 152. 127.
6. miasto na Górnym Śląsku — 20. 164. 90. 19. 59.
7. w filmie nazywa się kadr — 50. 179. 184. 116. 67. 124.
8. potwierdza je alibi — 25. 161. 97. 165. 131. 175. 183. 136. 168. 71.
9. zbiorek wierszy Boya — 7. 154. 116. 189. 112. 16.
10. hodowla raczej zwierząt — 17. 139. 92. 83.
11. doniczkowy kwiat cebulkowy — 18. 26. 33. 138. 109. 38. 177.
12. zmierzanie do celu — 3. 58. 23. 178. 78. 70. 174.
13. zakończenie — 6. 1. 11. 100. 158. 153.
14. dramat Schillera — 4. 69. 114. 182. 169. 65.
15. długi list — 24. 28. 75. 104. 55. 60. 166. 43.
16. metal w termometrze — 57. 45. 30. 157.
17. zabawa z loterią fantową — 15. 63. 80. 160. 73. 96. 27.
18. na materiale fotograficznym — 35. 87. 81. 115. 176. 76. 46.
19. wieś pod Kazimierzem znana z bitwy partyzanckiej — 113. 52. 40. 21. 56. 171.
20. uroczysty przemarsz — 72. 53. 10. 34. 126. 159.
21. wyspa w Wielkich Antylach z dwoma państwami — 111. 77. 5. 98. 29.
22. słowna przepustka — 86. 39. 66. 62. 103.
23. akompaniują do murzyńskiego tańca — 142. 68. 155. 108. 184.
24. język wielu mieszkańców Indii — 121. 8. 95. 163. 145.
25. nazwa — 151. 148. 143. 32. 141.
26. powieść Dostojewskiego — 96. 82. 133. 106. 123. 88.
27. zwierzęta hodowlane — 135. 99. 102. 146. 120.
28. podobno bardzo uparty — 181. 132. 137. 147. 42.
29. historyk i pisarz, specjalista od spraw polskich w XVIII i XIX wieku — 49. 150. 89. 37. 91.
31. jednostki informacji w cybernetyce — 128. 118. 140. 156.
32. macha rękami i nogami pociągany za sznurek — 74. 122. 107. 94. 85.
33. słowiański demon zła — 119. 129. 79. 44.

Rozwiązanie można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 30 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

...naczelną, podstawową męką jest nie co innego, tylko cierpienie zrodzone z ograniczenia drugim człowiekiem, z tego że się dusimy i dławimy w ciasnym, wąskim, sztywnym wyobrażeniu o nas drugiego człowieka.

Witold Gombrowicz „Ferdydurke"

Nagrodę wylosował Witold Bernaś, ul. Dolna 30a/3, 00-774 Warszawa.

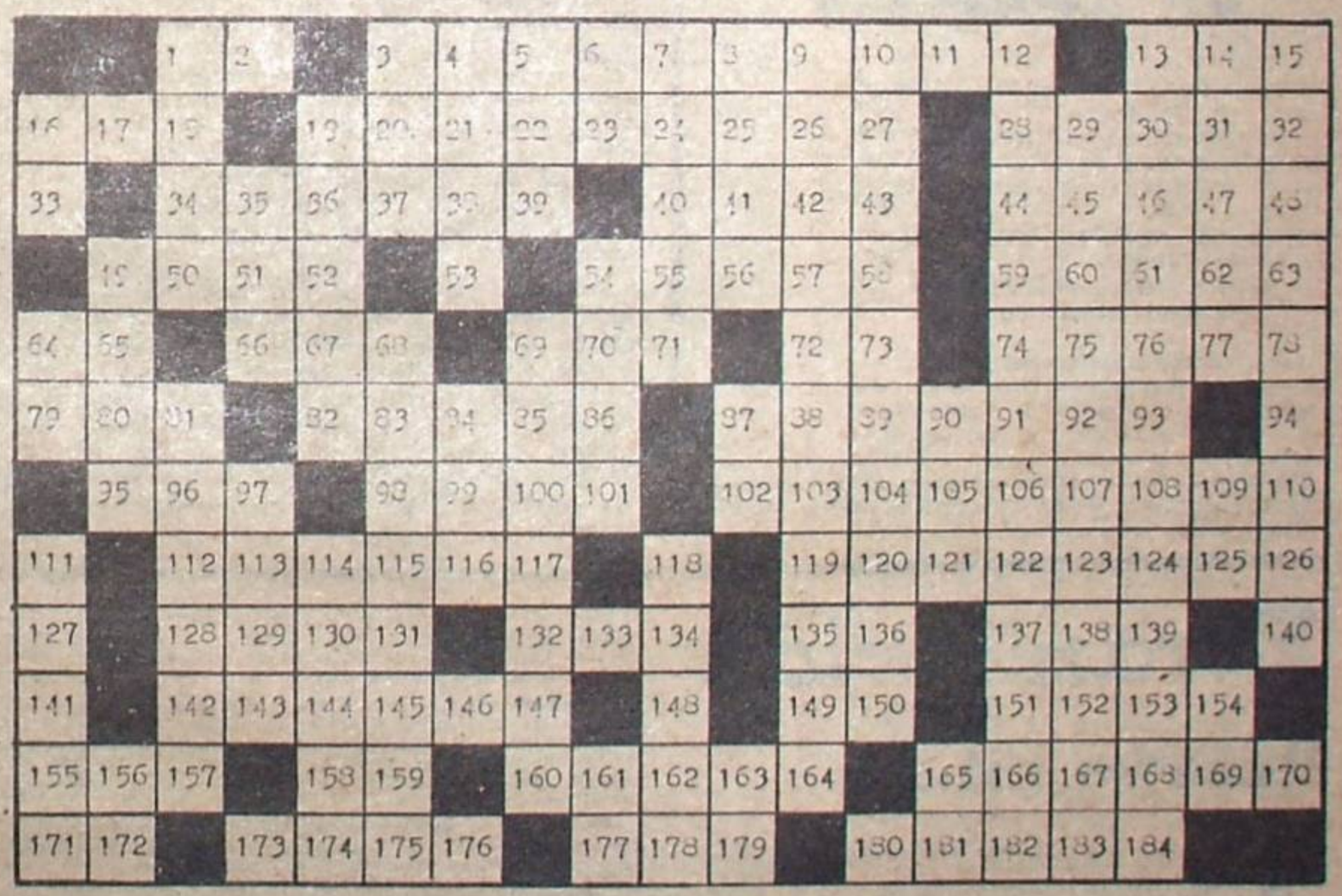

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kemiński. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa" — Kolportaż — „Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. [illegible]
Adres redakcji: 20-020 Lublin, ul. Skłodowskiej 5/1.
Telefony: sekretariat redaktor naczelny [illegible], sekretarz redakcji 318-93, dział publicystyki i literatury [illegible]. Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1090 [illegible]

Juliusz Wątroba

MOJE MIEJSCE

Gdzie się idee za łby biorą
Gdzie dobro ze złem idzie w parze
Gdzie ateistą stał się prorok
A ksiądz wikary sekretarzem

Tam gdzie marksistom rosną rogi
Gdzie święci z nieba są wyklęci
Gdzie dla mnie za wysokie progi
I gdzie się zawsze cosik święci

Gdzie aktywista chrzci swe dzieci
w ukryciu żeby nikt nie widział
Tam gdzie jest każdy za i przeciw
Gdzie znany statut ma kształt krzyża

Tam gdzie towarzysz pragnie Boga
Gdzie w świat materii wierzy mistyk
Gdzie wódka czysta taka droga
Gdzie ksiądz podlicza zysków listy

Tam gdzie nieszczęście goni szczęście
Gdzie wieczne spory kłótnie waśnie
jest pod słów słońcem moje miejsce
Moja Ojczyzna — Polska właśnie

Wiesław Szymański

PRZECZUCIE

Skaczą już kozy na pochyłe drzewa,
co miało wisieć — dawno utonęło,
dziadek Salomon z pustego nalewa,
a krawiec kraje, choć materię wcięło.

Dzban wciąż donosi, choć dawno bez ucha,
wilk już nanosił na willę i ładę,
nikt w stół nie wali, by nożyc posłuchać,
a góra dawno nie świeci przykładem.

Karawany stają, kiedy pies zaszczeka,
światło z ciemnością spisują umowę,
stał się jagnięciem człowiek dla człowieka...
W imię Ojca i Syna! — chyba idzie nowe!?

Renata Putzlacher

DO KWADRATU

Cechuje nas wrodzony popęd
do skrzynek
Mieszkamy w klitkach
patrzymy w szklane pudła
jeździmy w blaszanych gruchotach

Zwierzątka też wsadziliśmy
do klatek
złe wiersze do szufladek
a niegrzecznych do paki

Tylko czasem nam żal
że ziemia
jest okrągła

Publikowane wiersze zdobyły nagrody na tegorocznym Biennale Literackim Humoru i Satyry „Złoty trzewiczek" w Chełmku.

Jestem w połowie wierszyka...

Spotkanie z Wojciechem Młynarskim

PRÓBOWAŁAM umówić się z nim kilkakrotnie. — *Niech mi pani nie zawraca teraz głowy* — usłyszałam, trzymając słuchawkę przy uchu — *bo właśnie jestem w połowie wierszyka, do którego muszę znaleźć rym.* — Było to między godziną 8 a 9 rano. — *Zwykle o tej porze siadam do pisania. Wyłączam telefon. Nie wiem, jak to się stało, że się pani dodzwoniła, zapomniałem chyba wyłączyć.*

Wreszcie wyznaczył mi spotkanie w swojej nieremontowanej od trzydziestu lat willi na Mokotowie.

Okazuje się, że Młynarski, nie będąc może idolem masowej publiczności, ale na pewno ulubieńcem części społeczeństwa, wydał drukiem swoje piosenki dopiero w 1983 roku. Niewielki tomik z ilustracjami Jerzego Dudy-Gracza i przedmową Lucjana Kydryńskiego zniknął błyskawicznie z półek księgarskich. Zaledwie 20 tysięcy egzemplarzy. Z płytami jest trochę lepiej. Artysta, działający przez ponad ćwierć wieku, stał się osobą publiczną, otoczoną wianuszkiem doradców. Jedni po ukazaniu się tomiku kręcili nosem, że teksty nie sprawdzają się bez muzyki. Drudzy od początku nie mogą znieść piosenkarza Młynarskiego na estradzie.

— *Był rok 1963* — mówi Młynarski. — *Byłem od roku absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego, Wydziału Polonistyki. Rodzina moja sobie życzyła, żebym może jakimś profesorem został, ale mi się jeszcze na studiach w teatrzyku „Hybrydy" spodobało bardzo pisanie i śpiewanie piosenek i szukałem okazji na estradzie, że tak powiem, zawodowej. I tu mi wszyscy mówili początkowo tak: „Jeżeli chodzi o teksty, to gdybyś się pan uparł, pisz pan, tylko błagamy pana, niech pan sam tego nie wykonuje nigdy". I tu padały argumenty, że głosu nie mam, że oko takie błędne lekko, ruchy wiatrakowate, właściwie jedno, co nie budziło zastrzeżeń, to moja fryzura. Niemniej, jako facet uparty (wywodzę się spod znaku Barana), szukałem jakiejś okazji stosownej i okazja taka się nadarzyła właśnie w roku 1963. Trzeci program Polskiego Radia zorganizował w Warszawie imprezę pod nazwą „Giełda Piosenki". To było w takiej małej kawiarence w podziemiach Domu Mody „Ewa". Na czym to polegało? Raz w miesiącu zbierało się wspaniałe towarzystwo, zainteresowane piosenką. Pamiętam, zawsze przy jednym stoliku siedzących pana Sempolińskiego, pana Rudzkiego i Aleksandra Bardiniego, przy innym siedział Stefan Kisielewski, jeszcze przy innym Jerzy Waldorff. Taka to, mniej więcej, była socjeta. I ani te nowe piosenki i nowe postaci te piosenki prezentujące, oceniali. Na jednej z tych giełd, wystąpiłem z bijącym sercem i ja. Obecny tam profesor Kazimierz Rudzki, zawsze tak charakterystycznie gestykulujący palcem wskazującym prawej dłoni, powiedział do mnie, odwoławszy mnie na stronę: „Panie Wojtek, to jest wprawdzie giełda, ale nikomu pan tego utworu do śpiewania nie sprzedawaj. Masz pan zawsze te swoje kawałki śpiewać sam".*

Siedzę na zielonym pluszu obszernego fotela w salonie, który przypomina mi bardzo dom rodzinny, i popijam wodę mineralną dostarczoną w litrowej butelce.

— Gdyby pan musiał zrezygnować z którejś z form pańskiej działalności: pisania tekstów, libretti, reżyserii, tłumaczeń, śpiewania, to co najtrudniej byłoby panu porzucić? — pytam.

— *Pisanie piosenek, bo to jest mój warsztat, który sobie stworzyłem, ukształtowałem. Mam dużo planów związanych z napisaniem czegoś do teatru, ale życie jakby samo to reguluje. Nie zarabia się spektaklami w teatrze Ateneum, a raczej pisaniem piosenek.*

— A najłatwiej co by pan porzucił?

— *Reżyserowanie, czym zajmuję się od niedawna i jakby troszeczkę z przymusu. Nie mam tej pasji. Stosunkowo łatwo byłoby mi także zrezygnować z wykonawstwa, dawania recitali, koncertów, aczkolwiek lubię tę formę, bo moje piosenki inaczej funkcjonują w bezpośrednim kontakcie z publicznością.*

— O czym świadczy coraz rzadsza obecność pana na festiwalowej scenie?

— *Jeśli na festiwalu w Opolu nie ma od lat konkursu piosenki kabaretowej, to jak mam występować? Jest określona konwencja dotycząca piosenki kabaretowej. Podobnie w biegu na 10 kilometrów, gdzie nie można puszczać krótkodystansowca. Jeśli przychodzi do mnie ktoś z muzyką, zachowuję się jak krawiec lub szewc. Elegancko. 85 procent tekstów powstaje do muzyki. Na zamówienie. Niektóre moje utwory przechodziły na festiwalach bez echa, ukrzywdzone całkowicie, jak chociażby „Jeszcze w zielone gram", co uważam za śliczną piosenkę. Nie doznała nawet zaszczytu dostania się do koncertu finałowego. Podobnie było z „Moim ulubionym drzewem".*

— Czyżby dawne kłopoty? Myślałem, że ma pan to już za sobą?

— *To koniec pozorny. Oczywiście, nikt mi nie zabrania śpiewać tych piosenek. Ale sugeruje się, żebym tego lepiej nie robił.*

— Traktuje pan piosenkę jak przyjaciela, personifikuje ją. Co pana w niej tak urzeka?

— *Lapidarność, skrót.*

Rozmawiamy prawie godzinę. Drzwi się uchylają i do pokoju wkracza Jasio, najmłodsza latorośl rodu Młynarskich. Kiedyś podczas recitalu pan Wojciech przyznał się do wnuka. Ma już dwudziestoparoletnią córkę i jeszcze jedną — dorastającą. Z najstarszej wyrosła polonistka, młodsza pisze wiersze (na razie do szuflady). Jaś jest wszechstronny. Żona Adrianna Godlewska — profesjonalna piosenkarka jazzowa.

— *Mam jakby ciągłą inspirację w domu* — powiada Młynarski. — *Mieszkając wszyscy razem, prowadzimy rodzinne życie, które często przenika do piosenek. Ciekawostka, że mi się nawet wtedy dobrze pracuje, jak mi tak wszyscy po głowie skaczą. A kiedy dumny i blady pojechałem do Domu Pracy Twórczej w Oborach po przyjęciu mnie do Związku Literatów, to myślałem, że się wścieknę, tak było cicho i spokojnie. Wszyscy chodzili na palcach, a ja przypominałem zupełnie tego dziadka spod Verdun, co to nie mógł usnąć, gdy nie strzelały armaty. Więc w domu mi najlepiej.*

Jedną Polskę mam tu, w domu,
szczerą myśl, serdeczne słowo;
druga Polska jest za progiem
i bełkoce nowomową.
W mej domowej Polsce niby
kameleon barw nie zmieniam;
w drugiej Polsce wpadam w tryby
pokrętnego dwójmyślenia.
Z pierwszej Polski niosę w drugą
wiarę w ludzi, piękne plany,
które będą wyszydzone,
a entuzjazm zmarnowany.

Żegnając się ze mną, powiedział:

— *Wie pani, chciałbym, żeby z tego spotkania wyniosła pani obraz zupełnie normalnego człowieka, jakim w rezultacie jestem. Być może, nie byłem uroczy i miły dla pani, ale proszę zrozumieć, za bardzo uwikłany jestem w życie. I tu radziłbym sięgnąć po teksty piosenek. Zawierają całą resztę, wszystkie niedopowiedziane słowa.*

Wizytę złożyła **Irena Filus**

Ekran i widz

Różowo mi...

JAKIŚ czas temu pisałem o dyskusji, która przetoczyła się przez prasę w związku z pomysłem naszej telewizji wprowadzenia na szklany ekran tzw. filmów z pogranicza. Chodziło m. in. o takie filmy, jak: „Emanuelle", „Salo czyli sto dni Sodomy", „Wielkie żarcie" itd. itd. Skończyło się na „Wielkim żarciu", które jednak skierowano ostatecznie do rozpowszechnienia w kinach. Wycofawszy się częściowo z zamysłu zrobienia swoistego festiwalu filmów głośnych i przez wybitnych nieraz reżyserów nakręconych, ale oscylujących często pomiędzy prawdziwą sztuką a pornografią, telewizja zaczęła nas raczyć sobotnią „różową serią". Wyszło jeszcze gorzej.

O żałosnych francuskich filmikach, kręconych przez czwartorzędnych reżyserów na zasadzie ponurego gwałcenia utworów wybitnych światowych pisarzy, można powiedzieć tylko tyle, że owe filmowe potworki spod znaku „Literatury i Erosa" są żałosną parodią ekranizacji literatury. Braku umiejętności reżyserskich, przerażająco nędznego aktorstwa, prymitywizmu dekoracji itp. nie jest zdolny „zrównoważyć" filmowy popis damskich biustów i podrygujących pośladków. Może jedynie chlubnym wyjątek ekranizacja opowiadania Czechowa o skromnej wdowie-lunatyczce, wynajmującej swoją daczę (i nie tylko daczę!) samotnym panom, pragnącym zaznać wypoczynku na „łonie natury" — film mieszczący się w kategoriach nie pozbawionej smaku, lekkiej komedii, nasyconej „soft-sexem".

Nawiasem mówiąc, wcale nie mniej gorące „momenty" widuje się w kinach, choćby na filmach Briana de Palmy. I nieraz więcej w nich prawdziwie erotycznej atmosfery niż w tych z „różowej serii", gdzie rozebrane do rosołu panienki podskakują rytmicznie nad lędźwiami swych kochanków.

Wiele osób, z którymi rozmawiałem na temat „różowej serii", twierdziło, że z trudem tylko potrafiły dotrwać do końca owych nudnych i w gruncie rzeczy bezbarwnych filmowych opowiastek. Uważały, że zmarnowano im koniec sobotniego wieczoru. I nie były to osoby gorszące się erotyką czy też nią niezainteresowane. Wprost przeciwnie. Ale czuły się po prostu w jakiś sposób „wystrychnięte na dudka". Trochę podobnie do tych widzów, którzy ściskając w garści zafundowane im przez zakład pracy bilety wstępu w cenie 1 500 zł sztuka, walą z wypiekami na policzkach na kabaret Tadeusza Drozdy „Sexcesy", spodziewając się, że za chwilę spod każdego fotela wypełznie goła striptiserka, zaś w zmasowanej na sali „telewizorni" pokażą im (stereo i w kolorze) siedemset figur z „Kamasutry". A tymczasem przez połowę programu zalewa ich swoją elokwencją sam Drozda. W dodatku ubrany od stóp po szyję.

Jeszcze gorzej, kiedy ostatnio telewizja postanowiła zastąpić półgodzinne eroto-filmiki pozycjami pełnometrażowymi, wygrzebanymi chyba gdzieś z dna kufrów zagranicznych dystrybutorów. Tak było z filmem Waleriana Borowczyka „Lulu", opartym na jednej ze sztuk Wedekinda, i „Hekate" D. Schmidta, reklamowanym jako dzieło „pięknie fotografowane", w którym „romantycznie ukazano śmiałe sceny miłosne".

Co do „Lulu", to takiej chały nie oglądałem od czasów dokonania przez Borowczyka ekranizacji znanej powieści Stevensona „Dr Jekyll i Mr. Hyde" (na szczęście nie została ona — jak dotąd — zaprezentowana w polskiej TV, ale wszystko jest jeszcze przed nami!). I żal tylko człowieka bierze, że grafik tej miary i tej miary twórca filmów animowanych co Walerian Borowczyk kręci do tego stopnia mierne filmy fabularne, w tak marny i tak nieudolny sposób usiłując epatować publiczność.

W rubryce „Telewizja" w „Polityce", gdzie zamieszczane są wypowiedzi przedstawicieli różnych zawodów na temat obejrzanych w minionym tygodniu telewizyjnych programów, znany historyk prof. Franciszek Ryszka oświadczył po obejrzeniu „Lulu": „Poprawny w soft-porno Walerian Borowczyk tym razem pokazał horror. Jego adaptacja „Lulu", niezłej sztuki granej w dobrych teatrach, była zwyczajnie żałosna. Przypuszczam, że przyczyna zakupu leżała wyłącznie w naszym snobizmie na eksportowych Polaków". A jakby rozwinął jeszcze tę wypowiedź reżyser filmowy Janusz Majewski: „Zdołał mnie tylko wzburzyć film Waleriana Borowczyka w sobotnim kinie nocnym. Uważam, że był skandaliczny, nikczemny, na żenująco niskim poziomie. Dziwi mnie, dlaczego to pokazano. Nie widzę żadnego powodu, by kupować tak nędzny film — no, może poza żałosnym snobizmem, że to „dzieło" rodaka, który zdołał się przebić w Paryżu".

Podpisując się obydwiema rękami pod powyższymi stwierdzeniami, mogę tylko dodać, że następna po „Lulu" — „Hekate" Schmidta była już nie tylko „nikczemna", ale jeszcze nieprawdopodobnie nudna, ciągnąca się w nieskończoność i działająca niczym pastylka nasenna. Może kierownictwu polskiej TV chodzi o zdrowy sen abonentów telewizyjnych, tylko po co rozpoczynać tego rodzaju nasenne działanie o tak późnej porze?

M. D.